Nr. 7. Lwów, dnia 1. kwietnia 1907. Rok XXX.



Wpisowe do Towarz. (jednarazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

Znaczenie łowów w Austryi pod względem gospodarczym*).

(Przemówienie cesarskiego radcy W. R. Hubera, w wiedeńskim klubie łowieckim, 19. lutego 1907.)

Łowy istnieją od chwili, od której zaistniał świat.

Pierwotnie powstały one z walki o byt, wyłoniły się z instynktu samozachowawczego, służyły do pozyskania odzieży i środków żywności, a zatem słusznie można utrzymywać, że już w niepamiętnych czasach można im było przypisać znaczenie gospodarcze.

*) Treść tego nadzwyczaj interesującego odczytu, umieściły prawie wszystkie czasopisma łowieckie w Austryi — a my umieszczamy tem chętniej, że uważamy ją wobec wrogich argumentów, jakie łowiectwu naszemu przy sposobności reformy ustawy łowieckiej wytoczono, za najbardziej aktualną. (Red.)

Polowanie wykonywano z początku za pomocą środków jak najbardziej prymitywnych, a im prostsze były przyrządy myśliwskie, tem większej siły, odwagi i energii wymagało polowanie.

Dlatego uważano łowy zawsze jako zajęcie rycerskie, krzepiące ducha i ciało, a kultywowanie jego przygotowywało młodzież i dojrzałych do wojennego rzemiosła.

Później uprawiano łowy wedle oznaczonych reguł, które starożytni Grecy i Rzymianie utrwalili w licznych, bardzo zajmujących dziełach, a w których wybitną rolę zajmowały opisy myśliwskich przyrządów i sztuka wykonywania łowów.

Liczne są bardzo przez mnogie narody przekazane nam tradycye, które wielbią i opiewają łowy, jako wyraz prawdziwej męskości.

Miller nadmienia w swej wybornej broszurce „Myśliwstwo starożytnych Greków i Rzymian“, że Ksenofont,

Arryan, Oppian, Gracyusz, Faliscus i Nemezyan opiewali łowy wierszem i prozą i że szczególniej Ksenofont uznawał w całej pełni etyczne i estetyczne znaczenie łowów, mianując je darem od bogów udzielonym, za który winniśmy im wdzięczność. U przełomu wieków średnich, po reformacyi, lecz przed wynalezieniem prochu strzelniczego, osiągnęło wykonywanie łowów swój punkt kulminacyjny pod względem jakości.

Łowy na podchodne na jelenie, dziki i tury, łowy par force i z nagonką, wreszcie polowanie na czaple, tworzyły kwintessencyę ówczesnej sztuki łowieckiej, której prawidłowe uprawianie ceniono i uznawano, jako znamienitą umiejętność.

Sam cesarz Maksymilian I. sławił słowem i piórem pożyteczność i etyczne znaczenie łowiectwa.

Dlatego też winniśmy dzięki św. Hubertowi za to, że członkowie naszego najdostojniejszego cesarskiego domu, na czele z naszym dostojnym, najwyższym myśliwym, wierni idealnym zapatrywaniom swego rycerskiego protoplasty, z równem upodobaniem hołdują myśliwstwu. W opiekuńczej dłoni naszego ukochanego monarchy, mamy pewną rękojmię, że łowy w Austryi będą kwitły i nadal.

Również wszyscy nowocześni klassycy, jakoteż pisarze nowych kierunków, zaznaczają przedewszystkiem etyczne znaczenie łowów i przyznają im zupełną słuszność ze względu na ich uszlachetniający wpływ, wywierany na wykształcenie i charakter człowieka.

I dziś jeszcze wykonywają łowiectwo dzikie i koczujące ludy nie tylko w tym celu, by zaspokoić swe potrzeby co do żywności i odzieży, lecz łowy służą im również do pozyskania przykrycia, skór i innych myśliwskich pozbywalnych trofeów, które w handlu mieniają za przedmioty, których im nie dostaje. Ze wzrostem kultury, a w szczególności z postępem chowu bydła i uprawy roli usuwano wciąż łowy na dalszy plan, a w cywilizowanych częściach świata i krajach traktują je przeważnie jako sport; uprawiają je w tych krajach w myśl oznaczonych zasad, a wykonywanie polowania jest dziś umiejętnością taką samą, jak którakolwiek inna.

Wykładają ją w uniwersytetach i niższych, specyalnych szkołach, a wykonywanie tej umiejętności stanowi zawód dla wielu osobników.

Lecz polowanie nie jest sportem, uprawianym li dla przyjemności, stanowi ono bowiem potężny czynnik w życiu gospodarczem i nastręcza krajom, gdzie je racyonalnie wykonywają, uprawiają i kultywują, źródło bogatych materyalnych i etycznych korzyści!

Już w 18 stuleciu stanowiła hodowla zwierzyny, w odniesieniu do rozwijającej się kultury, przedmiot sporu między czynnikami, uprawiającymi gospodarstwo leśne i rolne, a właścicielami polowania. Dopiero w 19 wieku wprowadzane kolejno prawne przepisy i rozporządzenia wskazują łowom ich właściwe granice.

Wszystkie te ustawy usiłują wprowadzić wyrównanie, które wprawdzie chroni dostatecznie rolne i leśne gospodarstwo przed szkodami, zrządzanemi przez zwierzynę i polowanie, lecz które wypada na niekorzyć samego polowania i uprawiających je myśliwych, gdyż dominująca zasada tych ustaw zdąża bez wyjątku do jak najdalej sięgającego ograniczenia, a nawet do zupełnego zniesienia polowania.

Przemówieniem mem dzisiejszem chcę właśnie wykazać, jak nieusprawiedliwione są te usiłowania; celem moich wywodów jest, skruszyć kopię w sprawie polowania.

Nim poruszę właściwy temat — gospodarcze znaczenie łowów w Austryi — proszę o pozwolenie przytoczenia dat co do dochodów z polowań w innych krajach, które to daty wielokrotnie i w znakomity sposób omówili i opublikowali pp. Japing, Eheberg i Dr. Schwappach. Dowiemy się z nich, że dochód z polowania w Rosyi jest ogromny ze względu na liczny wywóz futer, wynoszący rocznie 300 milionów rubli, t. j. 750 milionów koron, że wartość ubitej rocznie zwierzyny w Niemczech obliczają na 20 milionów marek i że umowy dzierżawne o polowania, wedle położenia miejscowości dają od 12 feników do 10 marek za hektar. W Szkocyi płacą za odstrzelenie bagiennego kuraka 10 szylingów, a cena za odstrzał rogacza wynosi 100 marek za jedno odroże.

Znana taryfa dla odstrzałów w węgierskim c. k. zarządzie lasów państwowych ułożona jest na podstawie analogicznych cyfr.

Dochody z kart myśliwskich są również bardzo znaczne.

W Prusiech wydano w roku 1903 około 160.000 kart myśliwskich, które przyniosły dochodu około $2^1/_2$ miliona marek.

W Niemczech przypada wedle obliczeń Japinga — karta myśliwska na 200 osób, co odpowiada $^1/_2$ procentowi ogólnej liczby ludności. Wedle dat dostarczonych przez hr. Justyniana Clary, prezydenta francuskiego klubu św. Huberta, dały w r. 1904 „Permis de chasse“ 13,860.332 franków; wydano zaś 484.627 kart myśliwskich po cenie 28·60 franków. Z dochodów tych za karty myśliwskie wpłynęło 9,014.062 franków do skarbu państwa, a 4,846.270 franków dostało się gminom, w których „permis de chasse“ wystawiono.

Wedle dat, udzielonych mi przez tego samego wiarygodnego sprawozdawcę — miano wydać we Francyi w r. 1906 nad 500.000 kart myśliwskich, co daje 1·3% zajmujących się polowaniem na ogólną liczbę mieszkańców 38,590.693 (wedle spisu ludności w r. 1901).

Taksa za kartę myśliwską wynosi w Prusiech 15, w Bawaryi 15, w Saksonii 12 marek, w Belgii 45 franków, w Anglii do 3 funtów szterlingów lub 75 franków.

W r. 1903 sprowadzono do Paryża ubitą zwierzynę wartości około 5 milionów franków, żywą wartości około 250.000 fr,

Wedle hr. Clary, uiszczono w samym Paryżu za 2,284.165 sztuk zwierzyny, podatek konsumcyjny.

Umowy o dzierżawę polowań dają rocznie średnio 10 franków za hektar. W tym samym roku wynosiła we Francyi liczba psów do opodatkowania zgłoszonych 3,334.565 sztuk.

W liczbie tej było 832.600 sztuk deklarowanych jako psów do polowania, za które po 10 franków od sztuk trzeba uiścić podatek, co zatem dla fiskusa przynosi dochód 8,326.000 franków.

Za resztę psów, zgłoszonych w charakterze stróżów, wpłynęły do skarbu od sztuki 3 franki, zatem ogólny dochód w kwocie 7,505.895 fr. Nie ulega jednak wątpliwości, że między tymi psami znajduje się znaczny procen psów, używanych do łowów.

We Francyi przyjmuje się najmniej kwotę 60 franków na utrzymanie psa, służącego do polowania, co przy ogólnej liczbie tych psów 832.600 — odpowiada kwocie 49,956.000 fr. We Francyi znajduje się około 45.000 nad-

zorców polowań, a z zaprzysiężeniem każdego z nich łączy się taksa 15 franków. Wydatki zajmującego się polowaniem we Francyi na naboje, wyekwipowanie, suknie, trzewiki, broń itd., oceniają rocznie najmniej na 120 franków, co przy ½ milionie myśliwych, równa się wydatkom w kwocie 60,000.000 franków.

Rzuciwszy te cyfry, które dają chwalebne świadectwo wysokiej gospodarczej wartości łowów w innych krajach, przychodzą obecnie do właściwego tematu mego wykładu:

Austryę wszędzie mianują rajem myśliwskim i to słusznie, a Ludwik Dimitz, jeden z najwybitniejszych naszych autorów w zakresie łowiectwa i znawców polowania, charakteryzuje polowanie w Austryi, słowy: „Kochana Austryo, twe polowanie nie jest bynajmniej pośledním klejnotem w twojej koronie!“ Różnorodność gatunków zwierzyny, które można ubić, jak najoryginalniej romantyczne i pełne odmiany tereny myśliwskie i prawidłowe prowadzenie polowania, przeciw któremu poważnych nie można podnieść zarzutów, wszystko sprawia, że austryackie polowania są wielce pożądanym przedmiotem dla prawdziwych lubowników łowów.

Lecz nieliczni tylko doświadczeni, zawodowi myśliwi zdołają sobie urobić należyte pojęcie o rzeczywistej wartości polowania w Austryi, o jego gospodarczem znaczeniu i o ważnej roli, którą ono odgrywa w zakresie gospodarstwa społecznego.

Każdy, zostający w jakimkolwiek związku z polowaniem, wie przecież, że na wykonywanie łowiectwa, na chów i hodowlę zwierzyny trzeba wyłożyć znaczne koszta, ale tylko poszczególni zajmowali się w Austryi dotychczas wyczerpującemi studyami co do gospodarczej wartości zwierzyny i ze szkodą tych studyów, za mało badano szczegóły.

Wiadomo powszechnie, że z wrogiego usposobienia dla łowów w Austryi, ukuto hasła polityczne, że używają ich skutecznie w okresach wyborów w gminach, a wszystkiemu, co o szkodliwości utrzymania polowania i o szkodliwości jego wykonania się przywodzi, dają wiarę, gdyż nikt temu nie przeczy, gdyż nikt nie zada sobie trudu, przeprowadzić nie trudny dowód, że polowanie jest ważnym czynnikiem gospodarczego życia.

Dawno przebrzmiały czasy, w których wykonywanie polowania było przywilejem pewnej kasty; dziś jest polowanie dobrem wspólnem, a właśnie dziwnym trafem znajdujemy potężną liczbę wykonywających polowania w tych warstwach ludności, w których najbardziej nawoływają przeciw polowaniu.

I zaprawdę, któżby sobie odmówił tej rycerskiej, ciało krzepiącej przyjemności?

Któżby nie skorzystał z ochotą i radością z nadarzającej się sposobności, by zapolować czy to w polu, czy w lesie?

Ileż to trzeba fizycznych wysiłków, jakiego nakładu energii i chytrości, ile znieść niewygód, by porządną sztukę mieć na rozkładzie a jednak nie rozliczamy nie do uwierzenia wysokich kosztów tej przyjemności z rozwagą dusigrosza, lecz hojni jesteśmy w ich ponoszeniu.

Wiadomo, że u nas np. za odstrzał kapitalnego byka żądają i płacą 1000 k., tak samo wiadomo, że za odstrzał bażanta płaci się do 10 k. Jakie sumy pochłaniają łowy, jest najlepszym dowodem polowanie na kuropatwy, urządzone przed dwoma laty w hrabstwie Grünberg, w Czechach, za które Gordon Bennet, właściciel Newyork Heralda zapłacił 100.000 franków. Na polowaniu tem zużyto amunicyi samej za 10.000 k.

Znam bażantarnie, w których ubity bażant kosztuje właściciela polowania 15 k., ten sam bażant, którego z miejsca polowania sprzedają za 2 k.

Zatem chów tego bażanta i polowanie nań kosztuje właściciela 13 k.

Te 13 k. wydaje się na personal, karmę, nagonkę, nagrody straży, szkody, ścieżki etc., wychodzą one zatem na korzyść ogólną. Podobne stosunki co do wydatków mają miejsce także na innych polowaniach, abstrahując zupełnie od potrzeby zaopatrzenia się myśliwego w suknie, broń, amunicyę, od wydatków na podróże, napiwki i innych.

Spróbuję tedy dojść do kwot, które na opędzenie polowań wydajemy. Przytem chciałbym zaraz zaznaczyć, że rozporządzam bardzo skąpemi datami, mogącemi posłużyć do obliczenia wydatków na cele łowieckie, tak, że często jestem w konieczności posługiwać się własnem oszacowaniem.

W skutek tego, było mem usiłowaniem, by oszacowania te wypadły raczej niżej niż wyżej wartości, co Szanowne Zgromadzenie samo osądzić będzie mogło.

Przedewszystkiem przychodzę do jedynego źródła dochodów z polowania, t. j. do odstrzału zwierzyny. Wedle dat statystycznych, przez państwo zebranych, ubito w r. 1904

4.710.181 sztuk pożytecznej,
1.152.453 sztuk szkodliwej zwierzyny,
razem . 5.862.634 sztuk.

Zwierzyna pożyteczna przedstawia na miejscu polowania
wartość . . . . 8.299.996 K.
szkodliwa . . . . . . 846.737 K.

(przyczem tylko skóry ubitych niedźwiedzi, wilków, rysiów, lisów, dzikich kotów, kun i t. d. wliczono) dochód zatem z ogólnie ubitej zwierzyny odpowiada wartości 9.146.733 K.
czyli krągło . . . . 9.000.000 K.

Ubita i złowiona zwierzyna jest w Austro-Węgrzech przedmiotem handlu na wielką skalę, tak krajowego, jakoteż zagranicznego.

Ubitej zwierzyny wywieziono — wedle statystyki handlu zagranicznego za r. 1905 — za . . 1.971.000 K.
z tego
A) ubitych jeleni, sarn, kozic, dzików, zajęcy i innej owłosionej zwierzyny za . . . . . 1.115.000 K.
z czego
do Niemiec za . . . . 490.000 K.
do Szwajcaryi za . . . . 270.000 K.
do Francyi . . . . . 242.000 K.
zaś
B) cietrzewi i głuszczów, bażantów, słonek, dzikich kaczek, kuropatw, przepiórek i tym podobnego ptactwa
za . . . . 856.000 K.
z czego
do Niemiec za . . . . 299.000 K.
„ Szwajcaryi za . . . . 296.000 „
„ Włoch za . . . . . 63.000 „
„ Francyi „ . . . . . 143.000 „
„ Wielkiej Brytani za . . . 34.000 „

W tym samym roku (1905) wywieziono także z Austro-Węgier żywej zwierzyny za . . . 587.000 K.
z czego
do Niemiec za . . . . 430.000 „
„ Francyi „ . . . . . 74.000 „
„ Belgii „ . . . . . 21.000 „
„ Rosyi „ . . . . . 18.000 „

Łączny wywóz zwierzyny wynosił zatem około 2,600.000 k. w czem Węgry mają udział z kwotą mniej więcej 600.000 k., tak że Austrya sama dała zagranicy zwierzyny za dwa miliony koron.

Z przywiedzionych, eksportu zwierzyny dotyczących dat, wynika, że obok Niemiec największym odbiorcą na naszą tak ubitą jak żywą zwierzynę jest Szwajcarya i Francya.

Okoliczność, że Niemcy same pobrały 73% wywiezionej od nas żywej zwierzyny, dowodzi, jak szczególną opieką otaczają tam polowanie, jak się troskają o podniesienie polowania i że umieją tam cenić właściwie gospodarczę znaczenie polowania. Ten wywóz z Austryi za granicę skompensował się jednak w ten sposób, że w roku 1905 Austrya pobrała z Węgier zwierzyny za 2,000.000 k.. co potwierdza statystyka obrotu handlowego między obu połowami monarchii, w obec czego skonsumowała Austrya w r. 1905 zwierzyny pożytecznej wartości 8,299.996 k.

Jak zatem widzimy, odgrywa odstrzał zwierzyny, w dziedzinie aprowizacyi jakkolwiek nie wybitną, zawsze jednak poważną rolę,

Tylko bardzo wysokim podatkom spożywczym przypisać należy, że zwierzyna, jako artykuł spożywczy, w odniesieniu do wysokich cen mięsa, nie dostaje się do szerszych warstw ludności. Podatki te, bardzo znaczne, pobierane w środowiskach konsumu, nadają zwierzynie wprost piętno zbytkowego artykułu spożywczego.

Jeżeli np. zważymy, że przy obliczeniu wartości zwierzyny na miejscu polowania, przyjęto:

za zająca	2·— K.
„ kuropatwę . . .	—·60 „
„ bażanta	1·80 „

i że za zwierzynę tę płacono, przy wjeździe do Wiednia, po kolei 29 g, 26 g i 1 k. 04, podatku konsumcyjnego, to musimy przyjść do wniosku, że podatek spożywczy reprezentuje przy zającu 20%, przy kuropatwie 43% a przy bażancie nawet 58% jego wartości.

Zniżenie zatem lub też zupełne zaniechanie poboru podatku spożywczego od zwierzyny, przyczyniłoby się wysoce do rozszerzenia tego środka żywności, tak dla zdrowia korzystnego.

Ale nie tylko samą zwierzynę, gdyż także pochodzące z niej uboczne produkty wywożą z Austro-Węgier w znacznych ilościach za granicę. Tak np. wynosił, wedle statystyki handlu zagranicznego z r. 1905, wywóz skórek zajęczych i króliczych . . . . . 3,053.000 K.

z czego posłano:

do Niemiec za	2,092.000 K.
„ Belgii „	402.000 „
„ Stanów Zjednoczonych za .	163.000 „

Jeżeli zbadamy, jaki udział biorą poszczególne królestwa i kraje tej połowy monarchii w rocznym odstrzale zwierzyny, to przekonamy się, że prawie połowę pożytecznej zwierzyny ubito w Czechach, które w ogólnej cyfrze partycypują z kwotą 2,171.562 sztuk tz. z 47%

potem idą po kolei:

Morawy . . .	889.753 sztuk lub	19%
Austrya niższa . .	747.526 „ „	18 „
Austrya wyższa . .	216.125 „ „	4 „
Styrya	211.586 „ „	4 „
Galicya . . .	178.447 „ „	3 „
Śląsk	106 538 „ „	2 „
a Pobrzeże, Tyrol, Przedarulania, Kraina, Karyntya, Solnogród i Bukowina razem	188.554 „ „	3 „

Między pożyteczną zwierzyną, zajmuje co do ilości sztuk pierwsze miejsce ptactwo, którego ubito w Austryi 2,440.535 sztuk a między niemi prawie dwa miliony kuropatw. Liczba zwierzyny siercią okrytej wynosiła 2,269.646 sztuk, w czem blisko 1 milion zajęcy.

Z ubitej zwierzyny szkodliwej, padło:

w Czechach . . .	427.005 czyli	37%
na Morawach . . .	168.424 „	15 „
w Austryi niższej . .	160.986 „	14 „
„ Galicyi	125.722 „	11 „
„ Styryi	98.973 „	9 „
„ Austryi wyższej . .	70.918 „	6 „
na Śląsku	25.848 „	2 „
w Tyrolu i Przedarulanii .	20.674 „	2 „
„ Karyntyi	16.183 „	1 „
„ Krainie	14.895 „	1 „
„ Bukowinie, Solnogrodzie i na Pobrzeżu . .	22.825 „	2 „

Ogólna ilość ubitych szkodników do ogólnej ilości ubitej zwierzyny pożytecznej ma się jak 25 : 100. Uporządkowane wedle poszczególnych prowincyi, przedstawiają się wyniki następująco: W Czechach ubito w stosunku do ubitej zwierzyny pożytecznej, zwierzyny szkodliwej 20%, na Morawach 19%, w Austryi niższej 22%, w Galicyi 70%, w Styryi 46%, na Śląsku 24%, w Tyrolu i Przedarulanii 5%, w Karyntyi 50%, w Krainie, 33%, w Bukowinie 78%, w Solnogrodzie 43% a na Pobrzeżu 12%.

Widzimy zatem, że największą stopę procentową zwierzyny szkodliwej wykazują: Bukowina, Galicya, Karyntya, Styrya i Śląsk, podczas gdy bogate w pożyteczną zwierzynę prowincye, jak Czechy, Morawy, Austrya niższa, Austrya wyższa, Śląsk etc. wykazują daleko mniejszy procent szkodników.

W liczbie szkodników, włosem okrytych, znajduje się tylko 146 sztuk grubych drapieżników tj. niedźwiedzi, wilków i rysiów, z czego w samej Galicyi ubito: 23 niedźwiedzie, 59 wilków i 29 rysiów, zatem razem 111 sztuk.

Lisy, kuny, łasice, tchórze, wydry i dzikie koty dały razem 167.257 sztuk, w czem 41.324 lisy, z których w samej Galicyi, gdzie się cieszą ochroną, ubito 9.878 sztuk. Liczba ubitych wiewiórek wynosiła 349.977 sztuk. Szkodliwego ptactwa ubito 629.582 sztuk, w czem 524.891 wron i srok. Gdy bezpośredni dochód z wykonywania polowawanie, tj. z ubicia i spieniężenia zwierzyny ustaliłem na kwotę 9,000.000 k. chciałbym teraz poszczególnić wydatki na wykonywanie polowania.

Przedewszystkiem wspomnę o pensyach personalu łowieckiego, o wynagrodzeniu tych dzielnych, poczciwych ludzi, których jedyną troską jak rok długi i z roku na rok, jest zwierzynę hodować i pielęgnować, a personal ten, pobierając lichą płacę jest narażony na ciągłe wybryki naszej zmiennej aury, pozostaje w ustawicznej walce z wrogami polowania.

Wedle dat zebranych przez radcę leśnictwa, Karola Hiltla w Celowcu, wynosiło wynagrodzenie personalu łowieckiego w Austryi, w r. 1895, przy statusie z 33.285 osób rocznie 19,995.500 k. a więc krągło biorąc 20 milionów koron.

Należy przyjąć, że raczej obliczenie było za niskie, gdyż przyjęto jako minimum poborów na jednostkę 600 k. a zatem, ze względu na większą część lepiej uposażonych organów łowieckiej straży, można cyfrę wspomnioną podnieść na 25 milionów koron. Czynsze z wydzierżawianych polowań gminnych w Austryi niosą rocznie, na 13.000

komplexach łowieckich około 4,675.680 k. a więc krągło $4^{3}/_{4}$ mil. koron. Dochód z wydzierzawionych polowań na własnych terenach i z dozwolonego na nich prawa odstrzału, wynosi wedle mego obliczenia $2^{1}/_{4}$ mil. koron, tak, że roczny ogólny dochód z wydzierzawienia polowań i z odstrzałów w Austryi daje 7 milionów koron. Ludwik Dimitz oblicza już w r. 1886, a więc przed 21 laty, dochód z czynszu polowań w Austryi na 20 groszy od hektara; rozumie się samo przez się, że dochód ten zwiększył się od tego czasu znacznie. Wynagrodzenia za szkody, zrządzone przez zwierzynę i polowania, odpowiadają rocznemu wydatkowi 3,740.000 k. w co nie są wliczone wynagrodzenia, płacone w naturze, a które na podstawie obliczeń łowieckiego katastru wiedeńskiego myśliwskiego klubu, możemy przyjąć w kwocie 1/4 mil. koron, tak że te wynagrodzenia dadzą rocznie kwotę 4,000.000 k. W kwocie tej mieszczące się, przez władze lub sądy polubowne przyznane wynagrodzenia za szkody, zrządzone przez zwierzynę lub polowania, są wcale nieznaczne, co dowodzi, że w kwestyi wynagrodzenia za szkodę przez zwierzynę lub polowania, strony niechętnie szukają pośrednictwa władz, lecz raczej wyrównywają spory na drodze dobrowolnej ugody. Koszta polowania oblicza Hiltl na statystycznie wykazanych 19.176 własnych terenach łowieckich i na 12.988 komplexach wydzierżawianych, a więc razem na 32.164 rewirach, na których uprawiają gospodarstwo łowieckie, na 150 k. rocznie a wydatki te na polowania poszczególnia następująco:

koszta utrzymania psa	25 K.
karma zwierzyny	30 „
koszta odstawienia zwierzyny . . .	5 „
nagonka	40 „
tragarze	10 „
podatek	10 „
różne wydatki	30 „

Hiltl przychodzi zatem do ogólnego rocznego wydatku w kwocie 4,824.600 K. na 32.164 rewirach łowieckich, ja jednak kwotę tę uważam za niewystarczającą.

Myślę, że Szanowne Zgromadzenie zgodzi się ze mną, jeżeli na podstawie doświadczeń, przez nas poczynionych, zdwoję ten wydatek odnośnie do każdego rewiru.

Nawet najmniejsze znane mi polowanie, nie ma mniejszych wydatków rocznych, a jeżeli uwzględnimy większe rewiry łowieckie, na których wydatki te wzrastają niepomiernie, zatem także muszą dać większą średnią przy obliczeniu kosztów, przyjdziemy do wniosku, że bez obawy dopuszczenia się błędu, możemy wydatki na polowania w Austryi przyjąć rocznie krągło na 10 milionów koron.

Taksy za karty myśliwskie, dają roczny, średni dochód 750.000 k., w czem Austrya niższa uczestniczy sama z kwotą 108.306 k., względnie z 14.884 kartami.

Wedle tych dat i wobec zaludnienia Austryi niższej, wynoszącego 3,093.305 dusz, zajmuje się każdy dwusetny mieszkaniec, podobnie jak w Niemczech, polowaniem, co odpowiada $^{1}/_{2}\%$ ogólnej liczby zaludnienia.

Jeżeli proporcyę tę zastosujemy do austryackiej połowy Monarchii, liczącej 26,250.708 mieszkańców, to wypadnie nam z obliczenia, że w Austryi znajduje się około 130.000 myśliwych, jakkolwiek zupełnie nie wliczymy tych, którzy bez kart myśliwskich i bez szczegółowego upoważnienia, zajmują się gorąco łowami i to na szkodę polowania.

Biorąc za podstawę tę cyfrę 130.000 myśliwych, możemy dojść mniej więcej do kwoty, którą oni wydają rocznie na odzież do polowania. Jeżeli przyjmiemy, że każdy, trudniący się polowaniem, wydaje rocznie w tym celu tylko 60 k. to otrzymamy rocznie kwotę 7,800.000 k. wydawaną rocznie na te artykuły, czyli krągło 8 milionów koron. Koszta podróży (kolej, podwody, hotele) na cele myśliwskie muszą z pewnością wynosić na myśliwego 30 k. rocznie, razem zatem 3,900.000 k. czyli krągło 4 miliony koron. Liczne są inne gałęzie przemysłu i rzemiosła, które z myśliwstwa odnoszą korzyści a więc fabrykanci broni, preparatorzy, wytwórcy sztucznej karmy dla zwierzyny i psów, fabrykanci wyrobów skórzanych, sporządzający łapki, tak samo rzemiosła, pozostające w związku z literaturą a wreszcie myśliwstwo zajmuje także wielokrotnie sztukę właściwą i sztukę stosowaną. U wszystkich tych gałęzi zwiększa się zbyt znacznie w obec polowania, który odpowiada wydatkowi ze strony zajmującego się polowaniem w kwocie 30 k., a więc ogólnie da się ocenić najmniej na 4 miliony koron.

Zużycie amunicyi da się oznaczyć dość dokładnie.

Przy rocznym odstrzale 5,832.634 sztuk pożytecznej i szkodliwej zwierzyny, a więc krągło przy 6,000.000 sztuk, można na ubitą sztukę liczyć 3 naboje, tak że do ubicia tych 6,000.000 sztuk było potrzeba 18,000.000 nabojów. Do tego dodać należy amunicyę, którą się zużywa do ćwiczeń w strzelaniu do stałych i ruchomych tarcz, kul szklanych i gołębi a co do której nie dopuścimy się przesady, jeżeli obliczymy ją na 7,000.000 nabojów rocznie.

Można zatem bezpiecznie utrzymywać, że w Austryi zużywają rocznie na cele myśliwskie 25,000.000 naboi, które jeżeli liczymy nabój tylko 10 g., przedstawiają wartość 2,500.000 k.

Przytem należy zauważyć, że średnia nabojów myśliwskich, kosztujących po 10 g. raczej za nisko została obliczoną, gdyż na wielkich polowaniach, będących dla tego obliczenia podstawą w pierwszym rzędzie, strzelają najwięcej nabojami o słabodymnym prochu a te naboje przedstawiają wartość najmniej 15 g., od sztuki. Strzałowe, przypadające personalowi łowieckiemu, wynoszą rocznie (na podstawie statystyki odstrzału zwierzyny za r. 1904)

za zwierzynę pożyteczną .	1,935.266 K.
„ „ szkodliwą .	455.739 „
razem tedy .	2,391.095 K.

Ze względu na wahającą się cyfrę odstrzałów, możnaby słusznie przyjąć, że z tego tytułu wynoszą wydatki rocznie $2^{1}/_{2}$ miliona koron.

Dochody z podatku spożywczego dadzą się obliczyć tylko w przybliżeniu; wynosiły one w samym Wiedniu w r. 1904, 317.307 k., obliczone zatem na tę połowę monarchii w kwocie 1 miliona koron, nie będą wcale za wysokie.

W końcu nie wolno nam pominąć wydatków, które powstają z transportowania zwierzyny pożytecznej do miejsca zbytu, gdyż jak panowie słyszeli, przyjąłem wartość zwierzyny na miejscu polowania, a więc wedle cen, które wypływają z umów z odbiorcami en gros, z handlarzami zwierzyny.

Waga ogólnej, w Austryi ubitej, pożytecznej zwierzyny da się obliczyć na . . . . . . 145.000 mt. ctn.

Jeżeli przyjmiemy, że ubitą zwierzynę odstawia się z miejsca polowania do środowisk zbytu na średnią odległość 200 klm. i jeżeli dla odległości tej przyjmiemy jako podstawową jednostkę 2·42 k. za centnar metryczny, to dojdziemy do wyniku, że na transport użytecznej zwierzyny musimy wydać 350.900 k. czyli krągło . . 350.000 K.

Jeżeli te, w ten sposób otrzymane kwoty dodamy, jak to uwidoczniają poniżej zamieszczone wykazy, przekonamy się, że na łowy w Austryi wydajemy rocznie razem 69 milionów koron, co figuruje w budżecie obrotu myśliwskiego jako pozycya bierna, której jako pozycyę czynną, można przeciwstawić tylko wartość ubitej zwierzyny, wynoszącą 9 milionów koron.

Bilans obrotu łowieckiego w Austryi:

Roczne wydatki na wykonywanie polowania:

Wynagrodzenie personalu łowieckiego .	25.000.000 K
Czynsze z wydzierżawionych polowań .	7 000.000 „
Wynagrodzenia za szkody z polowań i wyrządzone przez zwierzynę	4.000.000 „
Koszta polowań	10 000.00 „
Taksy za karty myśliwskie	750.000 „
Myśliwskie wyekwipowanie, odzież etc. . .	8 000.000 „
Wydatki na podróże	4 000.000 „
Inne wydatki	4.000.000 „
Zużycie amunicyi	2 500.000 „
Strzałowe	2.500.000 „
Podatek spożywczy	1.000.000 „
Koszta transportu zwierzyny	350.000 „
razem . .	69 100.000 K.

Jeżeli z tego strącimy roczne dochody z odstrzału zwierzyny w kwocie . . . . . 9.000.000 K. pozostają koszta wykonywania polowania . 60.000.000 K.

Z zestawienia tego przekonamy się, że wykonywanie polowania w Austryi kosztuje wykonywających je 60 milionów koron. Przytem nie uwzględniłem kosztów zawsze jeszcze w Austryi uprawianego polowania par force, nabycia psów myśliwskich i t. d. i w ogóle jestem zdania, że rzeczywiste wydatki na cele łowieckie przewyższają znacznie moje obliczenia.

W ten sposób przedstawia się polowanie w Austryi nietylko jako znaczne użytkowanie poboczne gospodarstwa rolnego, lecz co więcej, wykonywanie jego przysparza istotnych dochodów pośrednich i bezpośrednich skarbowi państwa, przemysłowcom i rzemieślnikom, artystom itd.

Lecz polowanie popiera gospodarstwo społeczne nietylko w tem, że z wykonywaniem polowania łączą się znaczne wydatki, które ujęte w całość, przedstawiają się jako danina zajmujących się polowaniem, uiszczona na korzyść ogółu, lecz — jak utrzymuje bardzo trafnie Dr Schwappach — polowanie dla bardzo licznych osób stanowi wytchnienie po nowoczesnem, gorączkowem uganianiu się za zyskiem, wysilającem i nadwerężającem nerwy.

Kraje jak Anglia, Niemcy i Austro-Węgry, w których po największej części polują także cudzoziemcy, cieszą się napływem zagranicznych gości i przypływem obcych pieniędzy, które wychodzą na korzyść kraju, nastręczającego polowanie

Tu muszę jeszcze zaznaczyć, że wielka część wydatków na polowanie, przypada w udziale ludności wiejskiej właśnie w tym czasie, gdy roboty polne i inne spoczywają, a więc wydatki te są zarobkiem ludności w okresie braku innego zarobkowania.

Nie ulega zatem najmniejszemu wątpieniu, że polowaniu nie zbywa na gospodarczem znaczeniu, i co za tem idzie, że w myśl zasad słuszności i w ocenieniu tego znaczenia, należy mu użyczyć dostatecznej opieki.

Wobec tego, co wywiodłem, są wrogie polowaniu — na niczem nieugruntowane prądy, wprost niewytłómaczalne.

Uwzględniając w całej pełni wysoką wartość gospodarstwa krajowego, wolno nam utrzymywać, że polowanie można doprowadzić do harmonijnej zgody z celami, mającymi na oku uprawę leśną i rolną, gdyż niezliczone przykłady dowodzą wzajemnego wyrównania tych czynników.

Czcze frazesy i niczem nieumotywowane hasła, nie zdołają obniżyć gospodarczej i etycznej wartości polowania w oczach społecznego ekonomisty.

Obowiązkiem niezliczonych zwolenników polowania jest — w każdej chwili i przy każdej nadarzającej się sposobności — wskazywać na gospodarcze znaczenie polowania, a przy sprzeczności praw, ochoczo i pomocnie na korzyść polowania interweniować.

Zarządzenie międzynarodowej wystawy łowieckiej na rok 1910 we Wiedniu, zdoła przedstawić oczom pomrukujących na polowanie w całem świetle gospodarcze znaczenie polowania we wszystkich krajach.

Zarządzenie to będzie nietylko wystawą, będzie ono także powszechną demonstracyą na korzyść polowania w ogóle, a tem samem usprawiedliwi zupełnie wysoką wartość, przywiązywaną do polowania.

A teraz zwracam się z prośbą do szanownego Zgromadzenia, które wywodom moim użyczyło ucha tak uprzejmie i w sposobie, za który poczuwam się do podzięki, by raczyło wszelkimi sposobami iść na rękę i popierać dojście do skutku międzynarodowej wystawy łowieckiej, właśnie ze względu na jej wielkie znaczenie dla polowania.

Kończę me wywody słowy, nawiedzionemi u wstępu mego wykładu: „Polowanie istnieje od chwili, od której zaistniał świat i tak prawdopodobnie pozostanie na zawsze!

Św. Hubertowi cześć!

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI.

Wspomnienia ze Smorza.

(Ciąg dalszy).

Widziałem jelenie, które nie umykały nawet na odgłos chybionego strzału — te wszystkie objawy są dowodem małego stopnia płochliwości. — Ale ten sam jeleń potrafi wodzić myśliwego, dybiącego na jego wieniec, po jarach i szczytach przez dni kilkanaście i przez ten cały czas nie pokaże mu ani cala kwadratowego swojej sukienki, w którymby mógł kulę umieścić.

Ten sam jeleń rozszalały i rozryczany, łamiący w gniewie wszystko przed sobą, walczący z współzawodnikami, nie pozbywa się ani na chwilę wrodzonej ostrożności i wśród najwyższych paroksyzmów miłosnych cichnie i znika bez szelestu jak cień, gdy nozdrza jego pochwycą wiatr podejrzany, lub jakiś niewłaściwy szelest podrażni jego muzykalne ucho.

Błędnem z gruntu jest mniemanie, że ryczącego jelenia podchodzić można z równą łatwością jak tokującego głuszcza. Jeleń ani na chwilę nie pozbywa się swoich wysoko rozwiniętych władz umysłowych, a oprócz tego patrzy, słucha i wietrzy bezustannie, a w czasie rykowiska, nie tylko, że sam jest przynajmniej o tyle ostrożnym co zazwyczaj, ale prócz tego jest najczęściej w bliskości lub wśród stada, którego każdy członek czuwa nad ogólnem bezpieczeństwem.

Jednem, jedynem ułatwieniem, jakie nam daje rykowisko, jest okoliczność, że jeleń od czasu do czasu zdradza głosem swoją obecność i stanowisko, czego poza rykowiskiem nie czyni. — Rzeczą uwagi, znajomości kunsztu i kniei, specyalnego talentu jest więc do ryczącego jelenia

się zbliżyć. — Pomijając rzadkie szczęśliwe przypadki, nie można liczyć na żadne ułatwienia lub zapomnienia, ze strony podchodzonego jelenia.

Ślicznie wygląda teorya i bardzo łatwą się wydaje. Banalne opisy i aż do znudzenia powtarzany temat w ilustrowanych łowieckich pismach, owego wspaniałego jelenia, ryczącego w pełnem świetle na otwartej polanie, nie przytrafiają się prawie w naszych górskich rewirach.

Ryczą byki po zrębach i polanach, ale w nocy, aby jeszcze przed brzaskiem, nim strzelić można, powrócić w gąszcze, w których odbywa się właśnie ta część koncertu, w czasie której dopiero myśliwy interweniować może. Czem? są te gąszcze i jak w nich trudno jelenia, nie podejść, ale w ogóle dojrzeć, wiedzą dobrze ci wszyscy, którzy w naszych górach w czasie rykowiska polowali.

Moją główną troskę w Smorzu nie stanowiło nigdy podejście jelenia, ale dojrzenie jego konturów. Nieraz godzinami stałem lub szedłem w odległości 30 kroków od ryczącego jelenia bez możliwości strzału z powodu konopianych gąszczów.

Są pewne w kraju okolice, gdzie się inaczej dzieje, gdyż przed kilku laty czytałem w „Łowcu“ relacyę pewnego znanego w kraju myśliwego, który ubił kilka jeleni na odległości po 500—700 kroków. Nie jestem przeciwnikiem dalekich strzałów. Owszem, jeżeli się ma dobrą broń i oko i pewną rękę, to można kule z daleka puszczać, ale rezultat pomyślny w tym wypadku nie daje miary uzdolnienia, dotyczącego myśliwego w podchodzeniu, jest tylko dowodem wysokiej tarczowej kwalifikacyi, a na podchodnem ta druga zaleta, choć także bardzo potrzebna, jest drugorzędną.

Samo pociągnięcie za cyngiel do byle jakiego jelenia na horyzoncie, nie może dać myśliwemu tego zadowolenia, co wypracowany, wykombinowany i uczciwie zarobiony strzał do grubego byka, którego się po zwalczeniu tysiącznych przeszkód na dozwoloną myśliwską odległość podeszło. Szanujący siebie i zwierzynę myśliwy nie powinien uważać jelenia za tarczę, do której strzelać można na każdą odległość. Jeleń rzadko pada na miejscu, a gdy się strzela do niego na kilometry, to w górskim terenie niepodobieństwem prawie jest odnaleźć potem miejsce, na którem stał jeleń w chwili strzału.

Góry nasze są mocno garbate i poszarpane. Nieraz na przestrzeni nawet 200 kroków jest całe zbiorowisko jarów i zwałów, przez które godzinami przedzierać się trzeba, lub godzinami obchodzić. Jak w takich warunkach trafić na miejsce, gdzie stał jeleń w chwili strzału, w odległości 500 czy 700 kroków, jak dojść do pewności, czy ten jeleń chybiony, czy ranny?

Przy dzisiejszej małokalibrowej broni i przy lunetach na sztućcach, są granice dozwolonych strzałów i tak dosyć rozległe, powinno się jednak zawsze o tem pamiętać, że zwierz szlachetny, to nie gawron na topoli i że strzelać do jelenia wolno tylko wtedy, gdy się ma jak najwięcej prawdopodobieństwa umieszczenia w nim śmiertelnej kuli.

Na podchodnem trzeba się lubować, w samej istocie tego rodzaju łowów, w zwalczaniu nieraz nadzwyczaj trudnych warunków terenu, w zwyciężaniu rozumnej i wyrachowanej czujności zwierza. Trzeba wiedzieć dlaczego, tak a nie inaczej się podchodzi, trzeba zrobić sobie plan stosowny i wykonać go stosownie. Trzeba umieć wykorzystać każdą najdrobniejszą okoliczność, z każdego załamania umieć wyciągnąć odpowiednie wnioski. Tu trzeba dużo inicyatywy, dużo szybkiej decyzyi i oryentacyi w zmieniających się co chwila stosunkach. Tu żaden szablon, ani żadna z góry ukuta reguła nie wystarczą, bo każdy jeleń jest inny i w innych warunkach go się podchodzi. Strzelić do jelenia potrafi każdy, zawdzięczyć tę możność strzału samemu sobie nie każdy.

Jeżeli jest jaka reguła w podchodzeniu jeleni, to chyba ta jedna, że „złym wiatrem nie podejdziesz jelenia“. Jestto dogmat, o którym pamiętać ustawicznie musi każdy myśliwy, znajdujący się w jelenim rewirze. Jeleń widzi i rozróżnia dobrze, słyszy wybornie, a wietrzy nadzwyczajnie. I jeżeli czasem niedowierza swojemu własnemu oku i słuchowi i nieraz jest obojętnym na trzask łamanych przez myśliwego gałęzi, jeżeli nawet czasem nie płoszy się chybnym strzałem, to natomiast znika jak cień, ulatnia się jak kamfora, gdy jego delikatne nozdrza podrażni wiatr podejrzany. A jest on pod tym względem znawcą nie lada i doskonale rozróżnia odwiatr pochodzący od woniejącego starem masłem, dymem i tytoniową bagą górala, od woni jaką wydziela człowiek, hołdujący więcej wykwintnym toaletowym wymogom.

Jeleń wietrzy nadzwyczajnie i wietrzy ustawicznie. Jak daleko sięga węchem, nie odważę się twierdzić, przypuszczam jednak, że jeżeli niema się między sobą a jeleniem jakiegoś grzbietu lub parowu, któryby zły wiatr łamał i zwracał w inną stronę, to nie jest bezpiecznie podchodzić ze złym wiatrem bliżej jak na kroków 300. Lepiej nie forsować, obejść, choćby potrzeba, nałożyć parę kilometrów, a zbliżać się do jelenia tylko z dobrym wiatrem, bo wszelkie pędzenie na przełaj, byle tylko prędzej, nie tylko nie prowadzi do celu, ale psuje wszelkie widoki powodzenia.

Kwestya wiatru nie jest także tak łatwą do rozwiązania w górach, jakby ktoś mógł sądzić. Oprócz głównego panującego w okolicy, w danej chwili wiatru, istnieje cały stek miejscowych prądów i wirów. Niektóre miejsca w rewirze mają swoje stałe przeciągi, lub wiry, bez względu na wiatr panujący. Miejsca te i prądy powinien znać myśliwy i unikać ich lub z nich korzystać w miarę okoliczności. Pozatem w każdym potoku istnieje lokalny prąd powietrza w kierunku biegu wody, a na stokach rankiem prąd płynie przed wschodem słońca od szczytu ku dołowi, po wschodzie w kierunku odwrotnym. Wieczorem po zachodzie prąd zmienia jeszcze raz kierunek, ciągnąc znowu od szczytów w dół. Widzimy jak trudno myśliwemu lawirować przy ciągle zmieniającym się wietrze. Kierunek wiatru ma również wpływ na rozmieszczenie jeleni w rewirze. Południowego silnego wichru nie znoszą jelenie i w czasie trwania jego opuszczają południowe stoki, które na cały czas trwania takiego wiatru pustoszeją. W ogóle w czasie rykowiska woli jeleń północną stronę gór i przenosi się zawsze naprzeciw panującego wiatru, gdyż to ułatwia mu wietrzenie. Wyjątek stanowi, jak wspomniałem wiatr południowy, którego jeleń unika. Przed zmianą powietrza n. p. przed burzą, objawia się między jeleniami w czasie rykowiska niepokój, widzieć wtedy można nawet i w ciągu dnia pojedyncze sztuki i całe stada przenoszące się z rewiru do rewiru i wędrujące wszystkie w tym samym kierunku. Najbliższej nocy i ranka po takiej wędrówce ryczą zwykle jelenie doskonale, cichną natomiast, gdy przewidywana zmiana aury już nadeszła. Silne burze są wrogami rykowiska. Chłodna temperatura (bez znacznego jednak mrozu), umiarkowany wiatr zachodni z lekkim deszczykiem, wpływają korzystnie na rykowisko.

(C. d. n.)

Z wycieczki na Wołyń.

Nie bardzo słusznie nazywam to nawet wycieczką, gdyż również dobrze możnaby już mówić o wyprawie jakiejś — tak jak Kolumba, Nansena i innych wielkich podróżników. Ale do rzeczy!

Wyjechałem z domu na sam Nowy rok (widocznie cały rok będę miał taki nadzwyczajny) w południe do stacyi Koniuszki i wreszcie po dwu godzinach, które spędziłem w oczekiwaniu tęsknem i radosnem na pociąg do Lwowa — pojechałem. W drodze nachodziły mnie czarne myśli, gdyż pewien byłem, że pociąg pospieszny do Brodów na nas nie zaczeka, ale o dziwo! dowiaduję się we Lwowie, że kuryer spóźniony o cztery godziny! Ogromnie ucieszony siadam do wagonu i jadę — ale każda radość krucha! Fakt ten podał do publicznej wiadomości już stary Zagłoba, o czem i ja niebawem miałem się sposobność przekonać. W Brodach dowiedziałem się mianowicie, że już od dwu dni żaden austryacki pociąg nie przeszedł granicy z powodu niebywałych zasp śnieżnych i nawet małe są dane, aby w najbliższej przyszłości coś podobnego się wydarzyło. Źle! Ale nie tracąc nadziei jadę do miasteczka, biorę w hotelu „de l' Europe“ pokój i czekam. Po 14 godzinach oczekiwania, które skracałem sobie to pobytem w restauracyi, to przejściem do cukierni, lub też do trzeciego pokoju, zwanego tu kawiarnią, gdzie grała damska muzyka (sic!), bo wszystkie te nadzwyczajności łączył w sobie mój wspaniały hotel, mogłem znów siąść do wagonu i odjechać do Radziwiłłowa. Dalej już szło jak z płatka, bo zresztą czekałem już tylko 6 godzin w Zdołbunowie (przez ten cały myślałem tylko: czem jest 6 godzin w obec wieczności i jaki dobry barszcz dają tam na stacyi) i zajechałem szczęśliwie do Połonnego, własności Hr. Karwickich, gdzie gościnny gospodarz czekał już od dawna z kolacyą, gorącą herbatą, i gdzie mogłem wreszcie w łóżku wyciągnąć moje sponiewierane kości — a trzeba było dobrze wypocząć, bo na drugi dzień rano mieliśmy jechać do lasu, aby zobaczyć, co tam dziki porabiają. O siódmej rano wstaliśmy i we trójkę, t. j. nasz gospodarz, Br. Stanisław Rosenwerth i ja, pojechaliśmy do lasu. Tam na leśniczówce już na nas czekali gajowi i kilka psów, ogromnych kundysów, specyalnie do dzików układanych. Niech sobie mówi kto co chce, ale przecież najładniejsze to polowanie na dziki z psami! Co za roskoszne emocye przechodzi myśliwy, gdy usłyszy pierwszy głos psa tropowca, co za cudowna muzyka, gdy potem reszta psów dojdzie dzika i zacznie go powoli forsować, aż wreszcie dobierze się do jego skóry! W pierwszym miocie, któryśmy brali, było 5 dzików otropionych; my trzej stanęliśmy na linii, a gajowi z psami poszli za tropem. Po dość długim czasie słychać głosy psów, ale w miocie, do którego odwróceni byliśmy plecami. Dziki przeszły tam, ale okrążyły nas tak, żeśmy tego nie mogli widzieć. Zeszliśmy ze stanowisk, a p. Rosenwerth pobiegł w stronę, skąd dochodziły głosy i już tylko z rewolweru dobił małego warchlaka, którego psy dusiły. Reszta dzików poszła. W następnym miocie był otropiony duży pojedynek. Za tym ja poszedłem z psami od razu w miot. Słychać było wciąż ujadanie, to znów pies zaskowyczał, ale co zbliżyłem się trochę do dzika, tak, że go nawet jeszcze w gąszczu widać nie było, to on znów się odsadził od nas. Śnieg wyżej kolan nie pozwalał dość szybko podbiegać. Zabawa ta trwała od godziny 10 rano, do 2 popołudniu bez przerwy. Zdjąłem futro i kamizelkę myśliwską rozpiąłem, bo pot lał się ze mnie strumieniami. Psy tak się zmęczyły (jeden był cięty), że wróciły do nas; wzięliśmy je na drążki i dalej szliśmy za tropem, ledwie już wlokąc nogi. Wreszcie po czterech godzinach takiego chodzenia zobaczyłem, że w gąszczu coś czernieje, a to, że psy zaczęły się bardzo wyrywać, utwierdziło mnie w przekonaniu, że to jest nasz dzik. Odsapnąłem zatem, wymierzyłem spokojnie i strzeliłem. Wyskoczył z krzaków jak zając, a ja posłałem za nim drugą kulę. Jak się potem pokazało, dostał pierwszą pod samą komorę, drugą z tyłu tak, że mu porozrywała kiszki, ale szedł zupełnie dobrze. W jednej chwili cztery psy spuszczone, zanim jeszcze mój drugi strzał przebrzmiał, już były przy nim i osadziły go na miejscu, a wtedy prędko dopadłem do niego i dobiłem kordelasem. Był to duży pojedynek. Tryumf był wielki, bo szelma okropnie nas zmęczył i zrobiliśmy za nim parę kilometrów. Teraz śniadanie prędkośmy zjedli, aby wziąć jeszcze jeden miot, zanim się ściemni. Za otropionymi czterema dzikami poszedł p. Rosenwerth, i bardzo prędko się z nimi rozprawił, bo jednego zastrzelił, a drugiego, którego psy trzymały, zabił z rewolweru. Pierwszy dzień przyniósł nam zatem cztery dziki!

Na drugi dzień, o tej samej porze co dnia poprzedniego przyjechaliśmy do lasu, otropione były cztery sztuki, znów w tym samym pierwszym miocie. Teraz już ja poszedłem z psami za tropem, tamci myśliwi stanęli na linii, którędy miały dziki przechodzić. Dość długo szukaliśmy ich, aż wreszcie tropowiec puszczony dał znać, że są. Spuszczono resztę psów i za chwilę już była cała muzyka. Podbiegam prędko w tę stronę, expresa i futro oddaję gajowemu, a sam z kordelasem tylko pędzę i nagle widzę coś nadzwyczajnego! Nasze cztery psy atakują cztery dziki, a one bez cienia strachu, czując nawet swoją przewagę, nie ustępują, lecz przeciwnie też odpowiadają kontratakami. Widok był wprost bajeczny! Dużobym teraz dał za to, bo w danej chwili nawet mi to przez myśl nie przeszło, żeby mieć tak aparat fotograficzny i odfotografować taką scenę! Ale tu czasu nie było do stracenia, bo na tej nierównej walce najgorzej mogły wyjść nasze psy, więc nie namyślając się długo, przyskoczyłem z tyłu do największego, który właśnie był z kraju, a którego psy najbardziej atakowały i wbiłem w niego kordelas po rękojeć! Musiałem dobrze trafić, bo od razu się wywrócił, a kundysy już były na nim. Reszta dzików, widząc tak fatalny obrót sprawy, uciekła. Z trudnością udało się nam odciągnąć psy od trupa; puściliśmy je za tropem tamtych trzech i niezadługo już było znów słychać szczekanie, a od czasu do czasu kwik. Wybrały sobie małego warchlaka — dobiegłem prędko i zakłułem go kordelasem. Teraz już syt sławy i dzików spocząłem na laurach! Puścilismy psy jeszcze za tymi dwoma zbiegami, ale jakoś zmyliły trop, natrafiły zato na małego warchlaka i zagryzły go. Teraz został jeszcze otropiony duży pojedynek, za którym poszedł p. Rosenwerth, wraz z niestrudzonymi psami, a także i my z amatorstwa, aby się przyglądać tym bajecznym zapasom. Ale dzik widać nie w ciemię bity, bo wyprowadził nas prawie tak samo jak i pierwszego dnia parę kilometrów, a w dodatku psy już były okropnie pomęczone. Ale wreszcie go zatrzymały i osadziły, a P. Rosenwerth zakłuł go kordelasem. Mieliśmy zatem drugiego dnia znów 4 dziki. Największa zasługa przypada tu w udziale wprost nieocenionym psom, z których jeden tylko wyszedł bez szwanku, a zresztą wszystkie były cięte. Rezultat bardzo dobry, bo 8 dzików w dwu dniach, na dwu myśliwych.

(Gospodarz sam nie strzelał, ani nie chodził za dzikami, tylko swoim gościom tę przyjemność zostawił). Teraz do tej powieści mały epilog.

Przpominacie sobie Państwo moją podróż w tę stronę? teraz ciąg dalszy! W drodze powrotnej do domu przyjeżdżam rannym kuryerem do Radziwiłłowa, biorę bilet do Brodów, oddaję mój paszport, — ale o grozo — dowiaduję się, że mnie przez granicę nie puszczą, gdyż niema pozwolenia na wyjazd z Rosyi, a ponieważ żandarmi graniczni nie wiedzą, czy przypadkiem kogo nie zabiłem z browninga, lub nie rzuciłem jakiej bomby, nie mogą mnie puścić do Austryi. Daremnie im tłómaczyłem, że rozlewam tylko krew dzików, a na ludzką wcale nie jestem łakomy, i że jeżeli kiedy mam z jaką bombą do czynienia, to z wcale nieszkodliwą „bombką", że je wyrabiają w Pilznie, i że trzeba bardzo dużo takich „bombek", aby człowieka tylko powalić na ziemię! Wszystko nic nie pomogło. Ogarnęła mnie rozpacz! Ale cóż robić? Z bolem serca kazałem moje rzeczy wynieść z wagonu i zawieść do pierwszorzędnego hotelu („Grand hotel"); dopiero z tej podstawy operacyjnej zacząłem moje zabiegi o pozwolenie na przejazd przez granicę. Po długich staraniach i trudach z pomocą środków, które nigdy (zwłaszcza w Rosyi) nie zawodzą, dostałem takie pozwolenie. Było to około południa, a że z Radziwiłowa odchodzi pociąg dopiero około 8 wieczorem, postanowiłem końmi pojechać do Brodów, aby tam złapać jeszcze pociąg południowy, zwłaszcza, że do mojego „Grand Hotelu" nie wielkie miałem zaufanie. Biorę zatem „izwoszczyka", moje bagaże, i jadę na komorę. Tam czekam z godzinę, gdyż strażnicy właśnie jedli obiad, wreszcie wychodzi jeden, — oddaję mu mój paszport — ogląda go... Cały zamieniłem się w jedno wielkie oczekiwanie — zaparłem oddech, jakbym czekał czy odyniec, którego widzę już w miocie, wyjdzie na mnie, czy nie wyjdzie — puści, nie puści?... Strażnik z całym spokojem oddał mi mój paszport i oświadczył, że nawet mowy niema o przejeździe przez granicę, gdyż primo: mam ze sobą rzeczy, których oni przez komorę nie puszczają, a secundo, że przepuszczają tylko tych, którzy paszporty lub przepustki mają wydane w tamtejszym powiecie. Nie było rady na takie „dictum acerrimum", nawróciliśmy i musiałem czekać już w spokoju na dworcu aż do wieczornego pociągu. Ten jednakże nie przychodził. Spóźnił się starym zwyczajem więcej niż o godzinę, a skutek był ten, że austryacki pociąg w Brodach na nas nie zaczekał. Zato ja musiałem znów czekać w tem miłem miasteczku do rana, znów zajechałem do hotelu „de l' Europe", gdzie mnie witali już jak starego znajomego.

Ale przecież wreszcie mimo takie przeciwności faktów dobiłem się szczęśliwie do domu i dzisiaj już się śmieję z tego wszystkiego, bo nie każdemu zdarzy się tak podróżować.

Ostrów 15 stycznia 1907.

Wojciech Jarzymowski.

Korespondencye.

Nerwowość psów.

W Poznańskiem za mych młodych lat, był zwyczaj po dworach szlacheckich, że kucharze z obowiązku musieli być myśliwymi. Gdy przyszła pora polowania a pan nie miał czasu, lub nie był myśliwym, kucharz musiał po wydaniu obiadu iść na polowanie i nastrzelać odpowiednią ilość zwierzyny na stół. Przy godzeniu kucharza, moja matka zawsze się pytała, czy umie dobrze strzelać, co musiał udowodnić świadectwami. Zazwyczaj kucharze dobrze strzelali, i byli zamiłowanymi myśliwymi. Gdy przyszła jesień, nałapali kilka lub kilkanaście par kuropatw, i przechowywali je w osobnych izbach, by potem w końcu lutego wypuścić. W zimie zaś, prawie codziennie, gdy były duże śniegi, wynosili pożywienie w pole kuropatwom, a wieczorami robili rozmaite sieci na ryby. We wszystkie czwartki w roku, wychodzili najczęściej ze stangretem i ogrodnikiem, do rzeczki lub stawu, by nałapać dla państwa ryb lub raków na piątek, przyczem płotki i piskorze, jako ryby mniej szlachetne, między siebie roździelali, w nagrodę połowu Słowem, kucharz musiał nietylko dobrze gotować, ale musiał być także łowczym i rybakiem. Za ubitą zwierzynę dostawał strzałowe, od zająca 15 groszy, a od kuropatwy 5 groszy. Skórki z lisów, których bardzo mało było w Poznańskiem, za strzałowe oddawał państwu, zaś z zajęcy, kun, tchórzów, gronostajów, które bardzo pilnie po budynkach łapał, były jego własnością. Prócz tego, wolno mu było w kuchni chować swojego wyżła. Najczęściej miewali suki i przychowywali od nich szczenięta, które sprzedając, miewali po kilkadziesiąt talarów rocznie; zwłaszcza, że matka była znana z dobroci. Byli bardzo starannymi hodowcami wyżłów, i świetnie umieli je tresować i układać. Gdy się ciekała suka, nie żałowali pieniędzy, ani kilku mil drogi, żeby ją zaprowadzić do renomowanego wyżła i z nim sparować. Rodowody swych psów, znali na pamięć, od kilku pokoleń.

U mego ciotecznego brata, Ludwika Chłapowskiego w Sośnicy, polowałem często z kucharzem, który miał idealnie dobrą wyżlicę. Była to suka rasy niemieckiej, cała czarna, mocno kudłata, z pyskiem szerokim i kością na głowie mocno wystającą, na niskich grubych nogach z dużemi łapami. Węch miała znakomity, wszystko z daleka zwietrzyła, a przytem bardzo pracowicie szukała, zważając na każde skinienie swego pana, tak zaś stawała twardo, że nigdy nie spłoszyła ptaka. Za kaczkami pływała jak wydra, a gdy się zmęczyła, wspinała się łapami na trzcinach, lub tatarakach, a po wypoczęciu płynęła dalej. Pewnego razu za postrzeloną cyranką, aż dwie godziny pływała, nim ją złapała. Właściciel jej, był z niej bardzo dumnym, i nie byłby jej za nic sprzedał; gdyż za szczenięta od niej brał duże pieniądze, bo z daleka się o nie dobijali. Kupiłem sobie od niego pieska, który był kubek w kubek do matki podobny. Od samej młodości, był bardzo pojętny i posłuszny. Ślicznie aportował, i chętnie po wodzie pływał. W polu zaś dobrze szukał i ładnie wystawiał ptaki. Wszystko wróżyło w nim bardzo dobrego wyżła. Miał około dziewięciu miesięcy, gdy się na ptaki zaczęło polowanie. Na pierwszy raz, wyszedłem z nim blisko domu w pole, gdzie wiedziałem o kilku kuropatwach. Zaraz zaczął ślicznie szukać i ściągać, poczem stanął jak wryty, z podniesioną do góry zadnią nogą. Musiałem go zachęcać słowem, a nawet kopać, żeby skoczył. Strzeliłem dwa razy i dwie kuropatwy upadły. Ale jakie było moje zdziwienie, gdy mój Neptun, tak się bowiem nazywał, zamiast aportować, spuścił ogon między nogi, i jak kula zaczął uciekać do domu. Nic nie pomogły moje wołania ani gwizdanie, pędził jak strzała, nie oglądając się na mnie. Podniósłszy kuropatwy, zły i zdeterminowany, pobiegłem za nim na podworzec, lecz gdy mię tu zobaczył, uciekł do ogrodu. Jak nie pyszny, wróciłem do domu, wieszając strzelbę na kołku; potem wyszedłem by poszukać Neptuna. Gdy mnie bez strzelby ujrzał, przybiegł zaraz i zaczął mi się łasić. Zaprowadziłem go do pokoju, i dałem mu dużą porcyę jedzenia, gdyż mówiąc nawiasem, lubił dużo jeść

i był dość łakomym, co się często u młodych wyżłów zdarza. Potem wziąłem do ręki strzelbę, by go z nią oswoić; ale zaraz zaczął się trząść i ze strachu wszedł aż pod kanapę. Gdym to zdarzenie opowiedział naszemu sąsiadowi, który był znakomitym i doświadczonym myśliwym, kiwnął ręką i powiedział: Nic z niego nie będzie, takiego samego miałem psa, co się bał strzałów, i nie mogąc go od tego odzwyczaić, musiałem mu w łeb strzelić. Na te słowa aż gorżko mi się zrobiło z żalu na myśl o podobnym losie mego faworyta. Zacząłem przemyśliwać, jakby go odzwyczaić od tego... Postanowiłem uskutecznić to głodem. Zaraz zamknąłem go w chlewie, i dopiero po dwudziestu czterech godzinach zaniosłem mu jedzenie, trzymając w ręku nabitą strzelbę. Podczas tego, gdy rzucił się na jedzenie, wystrzeliłem. Odskoczył od miski, i schował się do chlewu. Zamknąłem za nim drzwi, postanawiając jeszcze dłużej go głodzić. Pomimo tego, że wył przeraźliwie, dopiero na drugi dzień poszedłem do niego z jedzeniem i ze strzelbą. Gdy w najlepsze zaczął jeść, strzeliłem dwa razy koło niego. Zatrząsł się mocno ze strachu, ale od miski nie odszedł. Tak zamkniętego trzymałem przez dwa tygodnie, zawsze mu strzelając podczas jedzenia. Później, po każdym strzale, rzucałem mu kawałek chleba do chlewu. Gdy zauważyłem, że nic się huku nie boi, stanąłem o jakie sto kroków od chlewu i zacząłem strzelać, kazawszy mu podczas tego drzwi otworzyć. Przybiegł pędem do mnie, za co w nagrodę dostał dużą miskę jedzenia, gdyż chciałem to w poić w niego, że zawsze po strzałach jeść dostanie. Od tego czasu, gdy tylko usłyszał strzał, zawsze przybiegał, za co dawałem mu chleba.

Z wielkim tryumfem poszedłem z nim do naszego sąsiada na kuropatwy, by mu pokazać i przekonać go, że nie zaraz trzeba psa strzelać, gdy jest nerwowym, gdyż można go od tego odzwyczaić. Podziwiał teraz zalety jego, i przyznał mi racyę.

Jeszcze raz miałem podobne zdarzenie z jamnikiem, którego w prezencie dostałem. Ślicznie gonił głosem zająca po krzakach, gdy się z nim na spacer poszło. Lecz gdy raz wziąłem strzelbę, i zastrzeliłem przez niego gonionego zająca, uciekł pędem do domu, i nigdy od tego czasu nie chciał za mną iść, gdy miałem strzelbę. Ponieważ nic mi na nim nie zależało, nie trudziłem się go od tego odzwyczaić, lecz jestem przekonanym, że to by się dało uskutecznić. Zaległ potem pole, a z próżniactwa, tak się zapasł, że wyglądał jak salceson.

Józef Ożegalski.

W sprawach łowieckich powiatu Przemyskiego.

Jako trzydziestoletni członek Towarzystwa naszego, od pierwszej chwili jego istnienia, zawsze się sprawami naszego Towarzystwa łowieckiego tak dodatnio rozwijającego żywo interesowałem a obojętnym na sprawy dotyczące łowiectwa nawet niepotrafiłbym być i mimo kłopotów gospodarczych, jak strajków, nieukompletowania czeladzi, drogości robotnika, wygórowanych tenut dzierżawnych, taniości produktów, a nadto wylewów Sanu, nad którym mieszkam, zawsze z upragnieniem wyczekuję Łowca, by mieć możność bodaj chwilowo odetchnąć a myślą z opisującymi malowniczo epizody myśliwskie przenieść się w knieje.

Jak wyżej określiłem, nie mogąc być obojętnym na podniesienie łowiectwa i jego sprawy; chcąc być szczerym, muszę wyznać że: jak ogólny postęp ku lepszemu jest pocieszającym, tak chciałbym również widzieć postęp i w tym powiecie, w który mię losy, czy przeznaczenie rzuciło.

Wydział Towarzystwa Łowieckiego bardzo słusznie widzi rozwój i wpływ dodatni na sprawy łowieckie w pracy swych delegatów, boć niepodobieństwem jest, by bez nich było możebnem cokolwiek w poszczególnych powiatach zdziałać.

W myśl tę jeszcze w roku 1897 mianował na powiat Przemyski czterech delegatów załączając dla nich regulamin. Następnie w roku 1902 w Nr. 9. Łowca zamieścił odezwę do wszystkich delegatów, by w myśl regulaminu ukonstytuowali się jako organ powiatowy Towarzystwa Łowieckiego i podzielili powiat na rejony łowieckie.

W roku 1904 mianował nowych, dalszych delegatów. W roku 1905 powiększył ilość ich do liczby siedmiu na powiat przemyski.

Na ten apel Wydziału najenergiczniejszymi okazały się powiaty Borszczowski i Doliński, bo już w roku 1904 zaraz się zorganizowały, następnie w r. 1905. Wadowicki, Przemyślański, Gródecki, Nadwórniański i Liski, ten ostatni wprawdzie bez skutku, bo dopiero w 1906-tym się ukonstytuował.

W roku 1906 ukonstytuowało się 19 czyli po dzień dzisiejszy, 26 powiatów. Nie bardzo pocieszający objaw, bo zaledwie $^{1}/_{4}$ część.

W liczbie ukonstytuowanych nie widzę powiatu Przemyskiego, a wszak to powiat jeden z większych, mający żyzne role, łąki, lasy rzeczki i rzeki, również i góry a temsamem powinna się w nim mieścić różnorodność zwierzyny, bo warunki są po temu, byle była pieczołowitość a roiłoby się od zwierzyny, jak to widzimy w Jarosławskiem, w dobrach Wysockich. W powiecie Przemyskim prócz dwóch większych majątków jest wręcz przeciwnie a tereny szwankują tak co do ilości, jak i jakości zwierzyny.

Powodów braku zwierzyny aż za wiele, w pierwszym rzędzie brak myśliwych a mnóstwo strzelców, doliczamy do tego kłusowników, których tu również niebrak, a dokładny obraz stanu zwierzyny odtworzyć sobie możemy.

Szkodników, mogę śmiało powiedzieć, niema prawie zwyczaju tępić w naszym powiecie, co jest znów jeden więcej ujemny a bardzo ważny punkt.

Pojmuję w zupełności, wielu Nimrodów miejskich, którzy wysiedziawszy się w biurze, żądni są tego sportu i chciwie do licytacyi polowań występują i konkurują nawet z miejscowymi myśliwymi którzy jako na miejscu zamieszkali mają możność i ustawiczną sposobność dbania o zwierzynę, a z drugiej strony chronienia jej od kłusowników, gdy tymczasem Nimrodzi miejscy płacąc po większej części wysoką kwotę za polowanie wskutek wylicytowania się, nie myślą wcale o podniesieniu zwierzostanu, lecz wyłącznie o użyciu w strzelaniu i ile możności odbiciu poniesionych kosztów.

Wreszcie miasto dość duże jak Przemyśl, mające zapotrzebowanie wielkie, wobec drogości mięsa chętnie zaopatruje się w dziczyznę, co znów jest wielkiem ułatwieniem dla kłusowników w pozbywaniu się zwierzyny.

Wobec powyższych powodów pp. delegaci powiatu Przemyskiego mają bardzo wiele do działania i istotnie przy dobrych chęciach przyczynić się bezwarunkowo będą mogli w wysokim stopniu sprawom Towarzystwa Łowieckiego a powiatowi swemu przynieść wielką przysługę, podniósłszy stan zwierzyny.

Wszak aby cokolwiek zdziałać, nie trzeba wiele, trochę tylko dobrej i silnej woli, trwać i występować zawsze

i wszędzie w obronie praw Łowiectwa, a Wydział nasz Łowiecki słusznie już tylokrotnie wzywał do czynu i działania.

Pozwolę też sobie w interesie naszego powiatu zaapelować wprost do naszych pp. delegatów i podać myśl, by raczyli dołożyć wszelkich starań, by zorganizować Towarzystwo Myśliwskie na powiat Przemyski, któreby naonczas odbywało polowania według przepisu statutu i planu, a temsamem praktykowane do dziś polowanie na własną rękę, w pojedynkę, upaśćby musiało.

Mamy na trzydziestoletniem doświadczeniu naszego Towarzystwa Łowieckiego niezbite dowody, że gdzie takie Towarzystwa Myśliwskie są zorganizowane, tam myśliwi mają przyjemność na polowaniach, a zwierzostan się z każdym rokiem podnosi; poszczególni zaś myśliwi mają nadto jeszcze i tę jedną więcej przyjemność, że mają różnorodne tereny, a nie jak dziś deptanie za nieubitym na poprzedniem polowaniu, może i ostatnim zającu.

Drugą prośbę mam jeszcze, by Panowie Delegaci raczyli również nie wypuścić z opieki swej, części powiatu po drugiej stronie Sanu t. j. od Radymna, która to część potrzebuje może największej pieczołowitości, jako obsadzona w $^2/_3$ częściach przez naszych najmilszych, którzy jak we wszystkiem tak i w łowiectwie najwięcej nam szkody tak przez swą indolencyę, jak i złą wolę przynoszą.

Niemniej ważną jest kontrola sprzedaży dziczyzny w porze zakazanej a i kłusowników łaskawej polecam pieczołowitości.

Od chwili, jak p. A. Przedrzymirski nasz powiat Przemyski opuścił, nie było ani jednej korespondencyi z ziemi Przemyskiej w Łowcu umieszczonej. Wszak jeżeli niema do doniesienia spraw dodatnich, to muszą być przeciwne, których niestety nie brak a które w naszym Łowcu również umieszczane być winny.

Buszkowiczki 19. lutego 1907.

O. p. Żurawica. *Mieczysław Jaxa Rożen.*

Uniż w lutym 1907.

W czasie od 15. lutego 1906 do 15. lutego 1907 padło na polach i polowaniach w lesie w Unižu: dzików 6, żbików 2, rogaczy 11, lisów 5, zajęcy 43, kuna leśna 1, słonek 16, kuropatw 95, przepiórek 51, chróścieli 28, dzikie kaczki 2, psów 6, puhaczy, jastrzębi, wron, srok, 22.

Kazimierz Przybysławski.

Rzeszów 21. lutego 1907.

Uzupełniając sprawozdanie moje z grudnia ubiegłego roku, podaję poniżej rezultat dalszych polowań w okolicy tutejszej.

3. stycznia w lesie zaczerskim u Ekscelencyi Adama Jędrzejowicza, w 12 strzelb padło: 1 dzik, 1 rogacz (schorowany z odstrzelonym badylem) i 48 zajęcy. Rogaczy nie strzelano. Polowanie doskonale zorganizowane i przez syna gospodarza świetnie prowadzone.

Niewielka stosunkowo ilość zajęcy na rozkładzie tłumaczy się ogromnymi śniegami, wśród których nietylko zające, ale i nagonka chodzić nie mogła. Z tego też powodu odwołanym został drugi dzień polowania na polach, który byłby dał z pewnością z górą 150 zajęcy.

21. i 22. stycznia dwudniowe polowanie u księstwa Januszowstwa Radziwiłłów w Tyczynie. Kilkakrotnie już podnosiłem w korespondencyach moich świetną organizacyę i sprężystą, wojskową prawie karność na polowaniach w Tyczynie. Tym jednak razem wstawszy rano wątpić zacząłem, czy się to zwykle tak nadzwyczajnie zorganizowane polowanie uda. Znałem program polowania, wiedziałem, że zamówiono 300 nagonki, a termometr wskazywał 22° mrozu! Obawy moje jednak okazały się na szczęście płonne — o oznaczonej godzinie 52 par doskonałych fornalek wyruszyło z Tyczyńskiego, rozwożąc dwunastu myśliwych i 250 nagonki w cztery strony olbrzymiego kotła. Cały ten Tabor sani ugarnirowany trzymanemi przez nagonkę kolorowemi chorągiewkami prześliczny przedstawiał widok na białem tle śniegu, ozłocony promieniami słońca.

Nic tedy dziwnego, że nagonka nie dopisała i zaledwie trzecią część zamówionych ludzi zastaliśmy pod lasem. Pomimo to jednak, pomimo ogromnych zasp śnieżnych i okiści na drzewach nagonka ta wzorowo się sprawowała.

„Nie ma złego, coby na dobre nie wyszło“, myślały sobie zapewne dnia tego, patrząc na termometr, lisy, których dwa zmarznięciu myśliwych, a skutkiem tego prześlepieniu, całość swej skóry zawdzięczało,

Cały rozkład wynosił 318 zajęcy — rezultat, jak na nasze nieszczególne stosunki łowieckie, nadzwyczajny. Rogaczy nie strzelano.

To też pomimo odmrożonych twarzy, nosów lub uszu wspomnienie tego ślicznego polowania do najprzyjemniejszych zaliczyć się musi, a gospodarza, dziękując za „już“, o „jeszcze“ na rok przyszły prosimy. *W. O.*

Buczacz 20. lutego 1907.

Dnia 28. i 29. grudnia polowaliśmy w 12 strzelb u JWP. Władysława hr. Wolańskiego w Rzepińcach. W obu dniach padło 112 zajęcy i 10 rogaczy; wynik zatem piękny. Dzięki staraniom i rozumnej gospodarce dyrektora dóbr p. Witołda Janina-Piaseckiego zwierzostan w dobrach Rzepińce znacznie się podnosi, gdyż p. Piasecki w zimie karmi zwierzynę, a ponadto energicznie strzeże przed kłusownikami, którzy w naszej okolicy w przerażającej ilości zwierzynę tępią.

Doskonale prowadzone polowanie, spokój i porządek tak w pogónce jak i na linii myśliwych, mnogość zwierzyny, oto prawdziwie miłe wspomnienia z tego polowania. *Edward Feder.*

Turówka, 20. lutego 1907.

Wiem z doświadczenia wieloletniego, że Redakcya „Łowca“ w lutym tak jest zasypana korespondencyami, któremi biedni myśliwi starają się pocieszać w braku polowań, — że na moje skromne sprawozdanie przyjdzie kolej chyba około Wielkiej Nocy. Lepiej jednak późno, jak nigdy, — a prędzej nie mogłem.

Przepolowawszy bowiem cały styczeń sumiennie, gdzie się tylko udało wkręcić, trzeba było potem odpokutować za te wakacye, i odrobić wszelkie zaległości w korespondencyach prywatnych i publicznych, wypisując parę flaszek antracenu.

Bo nie chwaląc się, każdy z nas, co to niby hreczkę sieje, więcej sieje literami, niż hreczką po roli, — i gdyby tak skrzętnie numerował swoje exhibita, jak p. starosta, — pięknej cyfry „kawałków“ doliczyłby się. Tylko, że na „pierwszego“ nic mu za to nie zapłacą. Jakich bo to tytu-

łów, — czytaj obowiązków — nie dźwiga na sobie ten znienawidzony obszarnik. W ilu to ciałach i ciałkach prawodawczych i administracyjnych nie pełni on obowiązków prezesa, radcy, delegata i t. d., a wszędzie musi nadrobić czasem, kieszenią i piórem. Dodać do tego własne interesy i kłopoty, jakąś broń Boże opiekę, komitety przedwyborcze etc., i skądże wziąć czasu na przyjemną pisaninkę, jaką jest korespondencya do Łowca.

Jednak po deszczu musi przyjść pogoda, i na to znalazła się chwila swobodna. Bo potrzeba przecie zdać sprawę z polowań, w których brało się udział, i dla miłości pięknego tytułu delegata T. Ł., i z wdzięczności dla tych, którzy pozwolili w swoich kniejach spędzić dobre chwile, a ostatecznie miło choć wspomnieć wśród trosk i kłopotów, o kilku tygodniach pełnych swobody i przyjemności. Zresztą, zkądby się wzięła historya, ta matka wszelkich mądrości, gdyby nikt nie spisał tego, co widział i czego doświadczył, choćby kronikarskim sposobem, bez krytycznych poglądów, a zwłaszcza, bez poetyckich dodatków, do których podobno myśliwi mają skłonność. Chociaż i ten przymiot myśliwski, uległ chyba zmianie. Dawniej ludzie mniej pisali, a znacznie więcej mówili. Liczne rodziny mieszkały pod jednym dachem, życie towarzyskie i sąsiedzkie bardzo było ożywione, ludzie nieustannie komunikowali się ze sobą (bo nie było pociągów zasypywanych śniegiem) bez zaproszeń, ceremonii, i wszystko ustnie załatwiali, bez uciekania się do papieru i inkaustu.

Łatwiej było pchnąć kozaka „z językiem“ o parę mil do sąsiada, lub samemu wreszcie pojechać, niż napisać parę słów zaproszenia.

Prawda że i nawyczka naszych ojców, wypisywania wszystkich „Wielce miłościwych mości asińdziejów“, nie przyczyniała się do ułatwienia gęstej wymiany listów. Bo, o ile w osobistem spotkaniu i pożyciu, prości byli i szczerzy, na papierze nie umieli obyć się bez tych kabalistycznych tytulacyi, mających być miarą gorącości sentymentu i stopnia submisyi.

Życie płynęło wonczas gładziej i łatwiej, niż w naszym XX-tym wieku.

Czasu było wiele na rozrywki, a więc i na łowy, nie krępowane przepisami ustaw, a często nawet granicami. Polowano więc często i wiele, nie brakło zatem i materyału do opowiadań. A że swobodne były humory i grono słuchaczy liczne, co, jak wiadomo, podnieca wenę poetycką, strzelano więc w opowieściach, zające na sosnach, i cietrzewie nurkujące w stawach, i wszystkim dobrze z tem było. Nikt tych powiastek nie pisał, verba volant swobodnie. Każdy powtarzając, dodał coś swego, historyjka coraz była bogatsza w szczegóły, i mniej prawdopodobna, ale autora nikt nie znał i nie pociągał do odpowiedzialności.

Teraz inne czasy i inne wymagania. Poezya myśliwska przestała popłacać, a wszystko bada się miarą i wagą, i przerabia na cyfry statystyczne. Wszak teraz myśliwy prócz strzelby, musi mieć w kniei ołówek i notować ilość ubitej w każdym miocie zwierzyny. Specyalny urzędnik liczy rozkład z każdego miotu, inny zapisuje skrzętnie liczbę danych strzałów. A w dalszem następstwie, z tych cyfr obliczają, już przy zielonym stoliku, wiele w tych strzałach było prochu i śrutu, wiele ta amunicya mogła kosztować, jaką cyfrę daje zużycie luf, strzelających na tem polowaniu, jak się przedstawia cyfrowo, zredukowany na korony czas, stracony na strzelanie zajęcy, gdyby go myśliwi, będący delegatami, lub ocenicielami różnych instytucyi, spędzili byli na likwidacyach lub komisyach i t. d. Z tych wszystkich kalkulacyi, po sprawdzeniu oczywiście, przeciętnej wagi zająca, wyłoni się dopiero teoretyczna cyfra wartościowa za 1 kilogram mięsa biednego szaraka, który dawno dynda nad drzwiami handlu korzennego, nie odpowiadająca wprawdzie walucie uzyskanej za niego, niemniej jednak cenna dla statystyki. Trudno, teraz taka moda. Kto chce, żeby jego mowy chętnie słuchano, musi sypać cyframi, kto chce zrobić wrażenie swoim artykułem, musi przytaczać cyfry. I ja też moje sprawozdanie otwieram cyframi.

Na 15 polowaniach, w których brałem udział w ubiegłym sezonie, widziałem na rozkładach: 1855 zajęcy, 75 rogaczy, 11 lisów, 8 dzików. A mianowicie:

17 i 18-go grudnia 1906 w lasach fundacyjnych, Krowinka, u hr. M. Baworowskiego, 364 zajęcy, 9 rogaczy;

20-go grudnia 1906 w Łuce m., u pani N. Kieszkowskiej 24 zajęcy, 1 rogacz;

20-go grudnia 1906 w Obarzańcach, u pp. Grocholskich, 34 zajęcy, 8 rogaczy;

3-go stycznia 1907 w Chlebowie, u hr. Koziebrodzkich, 34 zajęcy, 5 rogaczy, 5 dzików;

4-go stycznia w Zielonej, u hr. St. Pinińskiego, 84 zajęcy, 8 rogaczy, 2 lisy;

5-go stycznia w Dębinie grzymał. u hr. St. Pinińskiego, 116 zajęcy, 5 rogaczy;

11-go stycznia w Postułówce hr. St. Siemieńskiego, 154 zajęcy, 14 rogaczy;

12-go stycznia w Soroce hr. St. Siemieńskiego, 161 zajęcy, (rogaczy nie strzelano);

15-go stycznia w Kociubińczykach u p. Władysława Boguckiego, 90 zajęcy, 2 rogacze;

16-go stycznia w Czarnokońcach u p. Władysława Boguckiego, 344 zające, 3 rogacze, 2 lisy;

17-go stycznia w Hadyńkowcach, u p. Artura Zaręby Cieleckiego, 193 zajęcy, 10 rogaczy, 3 lisy;

26-go stycznia w Ostapiu, u p. Wacława Zaleskiego 97 zajęcy, 3 rogacze;

30-go stycznia w Bazarze u p. Władysława Boguckiego 100 zajęcy, 4 rogaczy, 3 lisy;

31-go stycznia w Sokołowie u p. Władysława Boguckiego, 60 zajęcy, 2 rogacze, 3 dziki, 1 lis.

To są cyfry, które podać łatwo, bo się je notowało po każdym rozkładzie. Ale jak odtworzyć wspomnienia wrażeń, których nie ma w notatkach, a których doznało się wiele i miłych.

Na pierwszem miejscu, dla łaskawysh gospodarzy polowań, uczucie gorącej wdzięczności, którego nie zdołały ostudzić szalone mrozy i zawieje, wśród których przeważnie polowaliśmy, a które nie mało trosk i trudności przysporzyły gospodarzom, obniżając przytem znacznie cyfrę nie jednego rozkładu.

Ogólne hasło, pod którem żyliśmy w styczniu, to walka z elementami, i obawa utonięcia w śniegu na stepach wschodnio-galicyjskich. Najpewniej dojeżdżał do mety. i nie spaźniał się do kniei, kto zapominał, że w Galicyi są już koleje, i antiquo more, jeździł saneczkami, choćby o mil kilkanaście. Tego systemu trzymał się stale, niżej podpisany i bardzo mu służył. Najpierw nie psuł sobie zdrowia i urody, bo wiadomo, że gniew obojgu nie służy.

A jakże się nie irytować i zachować spokój, wyczekując długie godziny w zimnej poczekalni jakiegoś małego dworca, na pociąg, który już dawno utknął w zaspie. Prócz silnej okiści na wąsach, a i to tylko wskutek karygodnej

obstrukcyi w obec mody, która każe je golić, żadnego godnego wzmianki wypadku nie miałem, w moich licznych i dalekich wędrówkach saniami. Na żadne polowanie nie spóźniłem się, nocowałem zawsze w gościnnem łóżku, dla mnie przeznaczonem, a nie, jak niektórzy, pożałowania godni koledzy, na twardych stołkach dworca kopeczynieckiego albo trembowelskiego.

Na każdem polowaniu zdumiewała mnie siła i odporność nóg i płuc naszych włościan, którzy nie zmuszeni przecie, tylko żądni zarobku, mimo największych zamieci jawili się w kniejach, i naganiali cały dzień zwierzynę, brnąc w śniegu półmetrowym, a często, w zaspach znacznie głębszych. Jakiego wysiłku na to potrzeba, miałem sposobność przekonać się nieraz, idąc po skończonym miocie skontrolować strzał, albo podchodząc flanką przed nagonką, co jest mojem specyalnem upodobaniem.

Prawie we wszystkich kniejach uderzał znaczny wzrost stanu zajęcy, w niektórych, wprost zdumiewający, jak np. w Czarnokońcach, dzięki bardzo starannemu karmieniu i opiece, gdzie w jednym miocie, składającym się z kawałka pola i kilku maleńkich remiz, padło 97 zajęcy, a uszło dwa razy tyle z braku myśliwych. Zato rogaczy padło wszędzie mniej, niż w latach poprzednich, i w ogóle, sarn mniej było widać, z wyjątkiem jednej Soroki, gdzie do rogaczy nie strzelano, ale w każdym miocie liczne ich rudle bawiły oko. Mniejszy rozkład rogaczy przypisuję w części temu, że się je strzela i w lecie dla rogów, i na zimowych polowaniach, nie chcąc odmawiać gościom przyjemności. Na to mamy ich stanowczo za mało, i nie prowadzimy dokładnego ich katastru. Chociaż i katastru można się trzymać, tylko strzelając w lecie do pojedyńczych rogaczy, ale na polowaniu z nagonką, nie podobna przewidzieć, wiele i jakich rogaczy nawinie się pod lufy myśliwych. Dlatego mam przekonanie, że polowanie z nagonką na rogacze, nie sprzyja normalnemu rozwojowi rodu sarniego, bo strzela się każdego rogacza nie przebierając, podług zasady myśliwskiej, że od Nowego roku niema już szpiczaków, podczas gdy w lecie strzelając rogacze na podjazdach, można wybrać wszystkie słabsze; zostawiając do dalszego chowu silniejsze i lepiej rozwinięte, co bezwątpienia musi korzystnie się odbić na przychowku. Mojem zdaniem mniejsza szkoda jest w zabiciu szpiczaka, z którego nie wiedzieć jeszcze, co wyrośnie, niż silnego rogacza z pięknemi nogami, które świadczą o jego zdrowiu i sile. Wprawdzie nieodżałowanej pamięci hr. Kazimierz Wodzicki mawiał żartobliwie, że wybija u siebie najpierw wszystkie rogacze własne, a potem kozy przyprowadzają mu gości, ale tego nie można brać dosłownie za regułę. Bo nie ulega wątpliwości, że za mała ilość rogaczy, i to niewyborowych, musi ujemnie oddziałać na ilość i jakość młodzieży. Przy naszym bowiem, ogólnie praktykowanym systemie, strzelania wyłącznie do rogaczy, z bezwzględnem oszczędzaniem kóz, (bo tylko wyjątkowo, w kniejakh o niezwykłym stanie sarn, zdarza się odstrzelenie małego procentu kóz), niema obawy o przewagę liczebną rogaczy, aż szkodliwą dla chowu.

Szkodliwsze znacznie są stare siuty jałowe, które powinny być usuwane z kniei, dla dobra chowu, ale ręką sumiennego i znającego się na rzeczy hodowcy, a nie strzelca. Bardzo znaczny procent sarn wyginął w styczniu, w czasie silnych mrozów i zawieruch, przynajmniej w moich stronach. A ci którzy nie zaglądają często do swoich kniei, zdziwieni będą w jesieni brakiem sarn. Prawdopodobnie wyginęło wszystko młodsze i słabsze, co nie mogło znieść niezwykłego zimna, i nie miało siły uganiać nieustannie w głębokim śniegu w poszukiwaniu dostatecznego pożywienia, którego przy niższej temperaturze organizm więcej potrzebuje. Że nie sam brak pożywienia spowodował taką klęskę w sarnach, ale mróz i wycieńczenie sił z powodu głębokiego śniegu, wnoszę stąd, że w mojej niewielkiej kniei, w której, dzięki nieprzyjaznym pograniczom, nigdy stan sarn nie jest liczny, znalazłem w styczniu jedenaście sztuk sarn nieżywych, a cztery sztuki tak osłabione, że mimo umieszczenia między cielętami i podawania najlepszej karmy, do kilku dni zginęły. A trzy razy w tygodniu, najregularniej wywozi się koniczynę i buraki do tryzub i do szopy w lesie, w której sarny mogą się skryć przed wichrem i śniegiem, a gdzie właśnie trzy sztuki martwe znalazłem.

Na każdem polowaniu w moich stronach, wynosiła nagonka parę sztuk sarn zamarzniętych, i na każdej prawie leśniczówce, widziałem nędzne sztuki, grzejące się w kuchniach, znalezione w lesie, w stanie zupełnej prostracyi. Wśród tych wszystkich znalezionych trupów i pacyentów, nie widziałem ani starej siuty, ani sporego rogacza.

Zająca zmarzniętego nie napotkałem nigdzie. Ten widocznie ma odpowiedniejsze futro i płuca do naszego klimatu, i więcej instynktu samozachowawczego. Prawda że i łatwiej mu ukryć się przed zimnem, umiejącemu nawet w śniegu wybić sobie gniazdo, podczas gdy sarna chcąc się położyć, usiłuje pierwej usunąć śnieg z ziemi, na co w tym roku największe wysiłki nie wystarczają. A jak zające umieją pilnować tryzub, to widzę teraz, rozwożąc najczęściej tam karmę po lesie, bo, mimo że sarn bardzo mało zostało, pasza zawsze do czysta wyjedzona, a wokoło liczne ślady dobrego apetytu wskazują głównie na zajączki.

Z lisami coś się stało u nas w tym roku, bo należą do rzadkości, choć miałyby właśnie aż nadto pożywienia w kuropatwach i sarnach, ubezwładnionych mrozem i śniegiem. Nad Strypą w Buczackiem i w Hadyńkowcach, było ich więcej.

Z dzikami mieliśmy tylko dwa spotkania. W Chlebowie źle się im powiodło, bo z sześciu, które były w lesie, tylko jeden uszedł. Ale bo p. Ludwik Koziebrodzki zna swoją knieję, nie szczędzi trudu na dokładne otropienie; świetnie kieruje polowaniem, a dziki, jak na sznurku wyprowadza na myśliwych.

Drugi raz mieliśmy dziki w Sokołowie u p. Władysława Boguckiego, gdzie stałe mają barłogi, bo to już cała okolica dzicza. W jednem stadzie było 18 sztuk, otropionych tak niewątpliwie, że na pół godziny przed zajęciem tego miotu, leśniczy rachował je jeszcze w barłogu, z obawy czy mu który nie ubył. Ale mimo strzałów w nagonce i na flankach, nie dały się rozbić, i wysypały się zwartą hurmą na linię, zostawiając tylko dwie sztuki na rozkładzie, i znacząc farbą drogę dalszej ucieczki. W innym miocie wyszło sześć grubych sztuk na myśliwego, który śrutowymi strzałami usiłował je rozbić, albo zwrócić na kolegów odpowiedniej uzbrojonych, ale bezskutecznie, bo wyszły wszystkie koło niego, nabrawszy zaufania do jego browninga. Mimo to, gospodarz polowania, z dalekiego stanowiska, ślicznym strzałem na 80 kroków, rulował dużą lochę.

Horoskop myśliwski na przyszły sezon nie przedstawia się wesoło. Zajęcy wprawdzie zostało wiele, bo głęboki śnieg, tamujący swobodne ruchy nagonki, salwował znaczny ich procent, ale czego mróz nie dokonał, może zrobić niekorzystna wiosna i nawalnice w lecie. Przyszłość

ich zatem, jeszcze nie pewna. Stan zaś kuropatw i sarn trzeba uważać wprost za zniszczony i potrzebujący kilku lat pomyślnych, żeby wrócił do tego, jakim był z końcem 1906 roku. Pomyślności tej jednak nie rokuje głośne i zaraźliwe hasło prawa wyborczego, które ma wprawdzie wiele przymiotników, ale nowym wybrańcom do Sejmu podług tego prawa, braknie niewątpliwie przymiotu, niezbędnego myśliwemu, tj. wstrzemięźliwości i miary w zabijaniu zwierzyny, a pilności w pielęgnowaniu i szerokiej ręki w karmieniu jej.

Sprzątnąć gotowy plon z łanu, potrafi bezmyślna maszyna, ale na to, żeby roślinę wyhodować, przygotować jej odpowiednio rolę, zasilić ją stosownymi pokarmami, ochronić od zabójczych i szkodliwych wpływów, potrzeba rozumnego i zamiłowanego człowieka. To samo odnosi się do gospodarstwa łowieckiego. Hodowców i miłośników zwierzyny potrzeba nam, jak najwięcej, a strzelców znajdzie się zawsze aż nadto.

Bronisław Rozwadowski.
Delegat skałacki.

Rohitno dnia 6 marca 1907.

Sroga zima dawno niebywała, zapomniana, dała się nam niemiłosiernie odczuć, zabierając omal że połowę owoców, mozolnej ciężkiej naszej pracy około hodowli i podniesienia zwierzostanu. Kiedy pierwsza ponowa ustroiła swą białą śnieżną szatą kochane nasze lasy, starodrzewia i młodniki, serce raźniej uderzyło, a każdego, ktokolwiek posiada choć odrobinę żyłki myśliwskiej ciągnęło coś do kniei, tam na popisanych formalnie liniach czytał, badał starał, się odgadnąć każdy gospodarz — hodowca owoc swej zapobiegliwej żmudnej pracy a mianowicie starał się sprawdzić i poprzeć wnioski i wszelkie rachuby poczynione na czarnej stopie — liczył, że się tak wyrażę, swoją kochaną, szanowaną, pielęgnowaną zwierzynę, — a serce radowało się na myśl, że niebawem nastaną gody myśliwskie, polowania, że przybędą goście myśliwi, którzy nietylko strzelaniną zabawiać się będą, lecz widząc rozmnożę i pomyślniejszy stan zwierzostanu z roku na rok się potęgujący, uznanie swe i zadowolenie okażą. Pierwsze polowanie na dniu 20 i 21 grudnia 1906, jakie się w lasach oczackich odbyło przy niebywałej dawno okiści i metrowym prawie śniegu, a mianowicie 20 grudnia omal że do rozpaczy nie przyprowadziło podpisanego. Strzelb było 8, miotów 6. padło: 1 samura i 10 zajęcy, taka była w dniu tym „głuchowina“ w kniei, że ani trąbki ani huczków usłyszeć nie było można, huczki wychodzili raczej do niedźwiadków lub do jakichś karykatur podobni, cali ubrani śniegiem, gubili się w miotach, słowem fatalnie szło polowanie a dla prowadzącego „wspaniała perspektywa“... Drugiego dnia św. Hubert był łaskawszy, niebo się wypogodziło, mróz chwycił na 24°, — zwierzyna szła już inaczej jak w dniu ubiegłym, rezultat z 10 miotów 5 dzików, 2 lisy, 9 zajęcy, — strzałów 76. Kozłów się nie strzelało, z powodu zaszanowania tychże, powtóre że było wielkie zainteresowanie się dzikami, które były we wszystkich prawie miotach.

W wykazie reszta zwierzyny ubita była, kozły na podjazdach, a inna tak pożyteczna jak i szkodliwa przez podpisanego i straż leśną na potrzeby właścicielki.

Projektowane było w styczniu drugie polowanie wielkie, jednakże wskutek tak srogiego żywiołu jak tegoroczna zima, do skutku nie przyszło, bo któż by miał sumienie do szkieletów biednych, wynędzniałych strzelać. Co tylko było wskazane i możliwe, by ratować kochaną zwierzynę robiło się i robi, podawaliśmy i podajemy najlepsze siano zrębowe, koniczynę, ścinamy osiki, jednakowoż sarny masami giną, codziennnie prawie przynoszą leśni, przywożą ludzie, dogorywające lub nieżywe sarny i zające. Natura zdawałoby się sama redukuje zwierzostany, giną przeważnie słabe, zmotyliczone, wynędziałe sztuki — daj Boże, by pozostałe choć zdziesiątkowane zdrowo ostały. 28 lutego ubiłem odyńca, wynędzniały, — cały nędzą opadnięty, — istny szkielet w skórze dziczej. Horoskop smutny na przyszłość, projektowana zmiana ustawy nie wiem co nam przyniesie, upadać nam jednakże na duchu nie wolno, a więc pielęgnujmy, chrońmy naszą biedną kochaną, zwierzynę, — ozdobę naszych lasów, a przy pracy, Bóg nam dopomoże.

O kuropatwach już i wspominać nie będę, kto nie chciał, ten konsumował, szkielety kuropatwie po miastach i miasteczkach kupując od szmajgełesów i różnych tym podobnych indywiduów, a wiele to zmarzniętych sarn i zajęcy skonsumowali różni panowie.

Wykaz ubitej zwierzyny pożytecznej i szkodliwej od 1/1 do 31/12 1906:

Dzików 28, rogaczów 16, zajęcy 38, lisów 20, kun 2, cietrzew 1, kuropatw 12, przepiórka 1, słonek 8, dubeltów 35, kszyków 7, chruścielów 6, dzikich kaczek 2, jastrzębi 48, psów 13. kotów 7, wron 83, srok 9. — Razem 336 sztuk.

Karol Bodnar
del. brodzki na okręg łopatyński.



KRONIKA

Hrabia Józef Potocki odbył w pierwszej połowie b. miesiąca ciekawą wyprawę myśliwską w północne strefy gubernii Wołogdzkiej, nad brzegi rzeki Suchony. Gubernia ta, której obszar równa się terytoryum państwa austryackiego, leży na północny wschód od Petersburga i należy do najdzikszych i najmniej zaludnionych prowincyi olbrzymiego Imperium. Doba koleją do Wołogdy, a stamtąd 300 wiorst końmi do miasteczka Totma, oto marszruta hr. Potockiego. Celem wycieczki: polowanie na niedźwiedzie; zarazem pragnął hr. P. spotkać się z dzikimi reniferami, które w tamtych stronach się już znajdują; to ostatnie jednak się nie powiodło, mimo długich poszukiwań nie zdołano spotkać się z reniferami. Niedźwiedzie zato dopisały; hr. Potocki ubił ich sześć, z czego jedną dużą niedźwiedzicę, dwa wielkie i trzy mniejsze niedźwiedzie. Polowanie odbywa się tam w ten sposób, że miejscowy myśliwiec, który wie, gdzie niedźwiedź zaległ przed zimą, prowadzi myśliwego wprost do legowiska, czyli „gawry“; niedźwiedź zbudzony ze snu zimowego, powstaje i daje myśliwemu sposobność łatwego strzału. Urządzanie obław wskutek braku ludzi jest niemożliwem w tych stronach zapadłych. Wskutek olbrzymich śniegów chodzić można tylko na długich łyżwach drewnianych, (nartach) co dla nieobytego z tym sportem, niemałe przedstawia trudności.

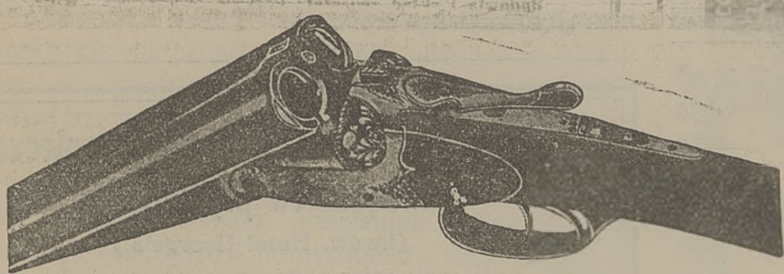
Niedźwiedzi tam jeszcze niezmiernie dużo, hr. Potocki sam miał do swej dyspozycyi około 20 barłogów, z których wybrał najbliżej i najdogodniej położone.

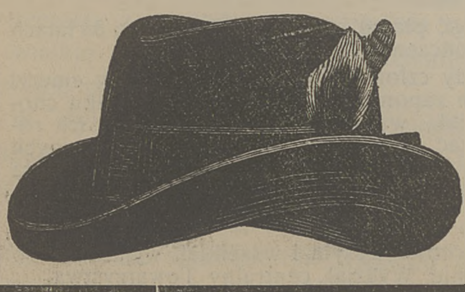
Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie wzbogaciło się ostatnimi czasy o jeden bardzo rzadki egzemplarz ornitologiczny. Jest nim wydrzyk długoogonowy (Lestris crepidata, die kleine oder langschwanzige Raubmöwe). Ptak ten wodny żyje na wysokiej północy obu lądów, zimą zwiedza wybrzeża umiarkowanej Europy. W Polsce prawie niespotykany. Gabinet zoolog. warszawski posiada jeden egzemplarz zabity pod Ostrołęką w r. 1858. Egzemplarz nadesłany do Muzeum im. Dzieduszyckich jest darem Dr. Sołowija, zabity przez p. Bala we wrześniu 1906 w Starzyskach w pow. jaworowskim. *A. M.*

W Poznaniu zawiązało się tymi czasy Towarzystwo łowieckie, mające na celu popieranie łowiectwa w Księstwie. Towarzystwo to zakłada organ, dwutygodnik ilustrowany pt: *Łowiec Wielkopolski*, którego numer pierwszy wyjdzie 1. kwietnia br.

Bratniemu Towarzystwu i pismu zasyłamy imieniem naszych członków i czytelników serdeczne „Szczęść Boże“.

DROBNE OGŁOSZENIA i INSERATY.





Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**